

**Ted Hughes**

**DESZCZOWY KOŃ**



**Ted Hughes DESZCZOWY KON  
1 INNE  
OPOWIADANIA**

Wybrała, przełożyła i opatrzyła posłowiem Teresa Truszkowska

**Tytuł oryginału: *WodwO***

**Faber and Faber. London. © 1967 by Ted Hughes**

**© Copyright for the Polish edit ion**

**by Wydawnictwo Literackie Kraków 1982**

**ISBN 83-08-00833 — X**

## Deszczowy koń

Kiedy młody człowiek znalazł się po drugiej stronie wzgórza, owiała go pierwsza fala drobnego deszczu. Postawił do góry kołnierzą płaszcz i ze szczytu porytego przez króliki, tarasowo opadającego i porośniętego kolczastymi krzewami nasypu spoglądał w dolinę.

Zapędził się za daleko. Spacer, zaplanowany po wygodnych, pokrytych makademem drogach, zamienił się jak we śnie, po przejściu przez bramę, ścieżkę i dziurę w ogrodzeniu, w wędrówkę na przełaj po zoranym polu — i oto buty miał zniszczone, a czarne błoto z nisko położonych pól coraz bardziej oblepiało nogawki jego spodni od szarego ubrania w miejscu, gdzie nogi ocierały się o siebie. W powietrzu unosiła się przykra wilgoć, która każdej chwili mogła znów przejść w ulewę. Zaczął drzeć, dzielnie przeciwstawiając się chładowi.

Przed nim odsłonił się widok, o którym od dawna myślał. Nie kierując właściwie swymi krokami, czuł podświadomie, że to wszystko zobaczy z tego miejsca. Od dwunastu lat, jeśli kiedykolwiek przywoływał na myśl ten krajobraz, wyobrażał go sobie tak, jak wyglądał on z tego miejsca. I oto teraz rozpościerała się przed nim nisko położona, całkowicie wyludniona dolina, płaskie, ogołocone pola, czarne i rozmokłe po tygodniach deszczu jak dno dawnego jeziora.

Nic się nie działo. Nie żeby oczekiwał jakiegoś naprawdę przeistaczającego wstrząsu. Spodziewał się jednak czegoś, jakiejś radości lub jakiegoś silnego doznania, sam zresztą dobrze nie wiedział czego. A więc czekał starając się wzbudzić w sobie i ożywić stosowne uczucia za pomocą drobnych szczegółów — zadziwiająco dobrze znanego mu łuku żywopłotu, kamiennego filaru bramy z wpuszczonym w nią żelaznym hakiem, do którego nieraz celował jak do tarczy, oraz długiego nasypu królikarni, gdzie właśnie stał, a. który był pierwszą rzeczą, jaką zauważył na wzgórzu, gdy-przed dwudziestu laty rzekł do siebie patrząc z dalekiej wioski: „Tu chyba muszą być króliki”.

Zmieniło go tych dwanaście lat. Ta ziemia już go nie poznawała, a i on spoglądał na nią chłodno jak na odwiedzony wreszcie kraj rodzinny, znany dotąd jedynie z opowiadań dziadka; ogarnęło go tylko otepienie, spowodowane brakiem uczuć. Nuda. Wtedy, nagle zalała go fala zniecierpliwienia z całym bezlikiem drobnych trosk o buty, o nękający go deszcz, nowe ubranie; i to niebo, z przykrością pomyślał o czekającym go dwumi-łowym mozolnym marszu poprzez błoto z powrotem do drogi. Szybciej dotarłby tam idąc wprost ku farmie położonej o milę stamtąd w dolinie, za którą droga skręcała. Lecz sama myśl o spotkaniu z farmerem — możliwość zenującego rozpoznania go lub zbesztania jako intruza — powstrzymywała go od tego. Zobaczył, że z oddali nadciąga deszcz, wlokąc swe szare złamane kolumny, zamazujące drzewa i zagrody. Zalała go fala gniewu na siebie, że dał się złapać w tę pułapkę błota, oraz żalu do ziemi, z powodu której czuł się takim wygnańcem, starym, upartym i głupim. Jedyne, czego pragnął, to odejść stamtąd jak najprędzej.

Lecz nagle, gdy się odwrócił, dojrzał coś kątem oka. Wszystkie jego zmysły napięły się w pogotowiu. Stał jak wryty.

Hen, z prawej strony, na przełaj przez zorane pole, biegł chudy czarny koń ze zwieszoną głową i wyciągniętą szyją. Gdy tak biegł ledwie dotykając ziemi kopytami, przypominał skradającego się podstępnie kota lub psa.

Wysokie wzgórze, na którym stał mężczyzna, opadało łagodnie i znów wznosiło się ku drugiemu szczytowi, obramowanemu wierzchołkami drzew, w odległości trzystu jardów na prawo. Gdy go obserwował, koń wbiegł na grzbiet wzgórza i ukazał mu się przez chwilę na tle nieba jak lampart z sennej zmory — po czym znikł po drugiej stronie wzgórza.

Mężczyzna długo jeszcze obejmował wzrokiem horyzont, przejęty dziwnie niemiłym wrażeniem, jakie wywarł na nim koń. Dopiero zalewający go lodowaty deszcz, bijący w jego odsłoniętą czaszkę i oblepiający go błotem, przywrócił mu przytomność. Dał zatarła się w ścianie szarości. Wokół niego pola drżały na deszczu i ociekały wodą.

Otulając się szczelniej kołnierzem i wciskając weń brodę, mężczyzna pobiegł z powrotem przez szczyt ku osłoniętemu od wiatru zboczowi wzgórza po stronie miasta. Jego przemoczone buty nabierały błota i rozchłapywały je, gdy z każdym krokiem zapadał się aż po kostki.

To wzgórze miało kształt fali; łagodnie zaokrąglony grzbiet wyłaniał się z doliny i załamywał się w ostro zakończoną, niemal wklęsłą ścianę, zwieszającą się nad nadrzeczными łąkami po stronie miasteczka. Przednią część tego grzbietu porastały w dół dwa małe laski przedzielone ugorem.

Pobliski laszek był po prostu ka-

mieniołomem, miał kształt koła i pełen był kamieni, dużych paproci, ciernistych krzewów, bliżej nie określonych młodych drzewek oraz iisich i króliczych jam. Drugi las był kwadratowy i rosły w nim głównie karłowate dęby. Za rzeką miasto tliło się jak wielki stos błękitnych popiołów. Mężczyzna pobiegł skrajem pierwszego lasu na wzgórzu i nie znalazłszy w nim innego schronienia jak tylko cienkie, bezlistne ciernie krzewów, zanurzył się poniżej grzbietu wzgórza, by znaleźć się poza zasięgiem wiatru, i znów pobiegł wolnym truchtem po gęstej trawie ku dąbrowie. W oślepiającym deszczu przedzierał się przez barykadę z jeżyn na skraju lasu. Małe kalekie drzewka nie pozostawiały dużego wyboru, jeśli chodzi o osłonę, lecz wobec nagie nasilającego się deszczu wybrał jedno z nich na chybił trafił i wczuł się pod jego nachylony pień.

Wciąż dysząc ciężko po biegu, podciągnął ku górze złączone nogi i obserwował zimne i przenikliwe strugi deszczu, szare jak grad, smagające poprzez gałęzie kępę paproci i jeżyn. Czuł, że jest dobrze ukryty i bezpieczny. Zdawało się, że szum deszczu wdzierającego się i nasilającego w lesie odgraniczył go od wszystkiego. Wkrótce chłodna ołowiana blacha ubrania oblepiła go ciasnym ciepłym pancerzem i powoli ogarniało go dobre samopoczucie, prawie jak trans, choć deszcz bił bezustannie w jego nie osłonięte ramiona i spływał po dębowym pniu na szyję.

Zewsząd zwieszały się nad nim pochylone gałęzie, błyszczące i czarne jak żelazo. Z ich końców i zgięć spływały krople, a wyżłobienia w korze migotały i pulsowały deszczem. Przez pewien czas zabawiał się śledzeniem zmian w nasileniu deszczu, obserwując zmiany w skapywaniu wody z drżącego końca gałązki oddalo-

s



nej od jego twarzy o pół metra. Przypatrywał się tej gałązce, tworząc w wyobraźni z jej liszajowatej kory karły, zwierzęta i całe kontynenty. Za gałęziami, w oddali błękitna ławica miasta wznosiła się i opadała ciemniejąc i znów niknąc w bladej, rozkołysanej zasłonie deszczu.

Chciał, aby ten deszcz padał bez końca. Ilekroć zdawało mu się, że deszcz słabnie i ustaje, nasłuchiwał z niepokojem, aż znów otoczył go ze wszystkich stron. Tak długo, jak padał deszcz, czuł się oderwany od życia i czasu. Pragnął zapomnieć o przemoczonych butach, zniszczonym ubraniu i powrotnej drodze przez tę błotnistą krainę.

Nagle zadrżał. Objął kolana, by wygnać z nich chłód, i zdał sobie sprawę, że znów myśli o koniu. Włosy na karku lekko mu się z jeżyły.

Przypomniał sobie konia wbiegającego na szczyt wzgórza i majaczącego na tle nieba.

Próbował przegnać tę myśl. Konie nieraz wałęsają się po okolicy. Lecz obraz konia, który pojawił się na tle nieba, głęboko utkwiał mu w pamięci. Koń przybiegł zapewne z za wierzchołka wzgórza tuż ponad laskiem, w którym właśnie w tej chwili siedział mężczyzna. Aby się uspokoić, obrócił się i poprzez pnie drzew spojrzał w lewo, w górę.

Na tle srebrnoszarego światła, na leśnym wzgórzu stał pod dębami czarny koń z czujnie wzniesioną do góry głową, strzygąc uszami i patrząc z uwagą na mężczyznę.

Koń chroniący się przed deszczem wpada zazwyczaj w rodzaj otępienia, odchyła od ziemi tylne kopyta, zwiesza głowę, opuszcza powieki i stoi w tej pozycji tak długo, jak długo trwa deszcz. Ale ten koń tamtych koni nie przypominał. Stojąc nieruchomo, obserwował męż-

ezyzną w skupieniu, a jego mokra szyja i bok lśniły w ostrym świetle. Mężczyzna odwrócił się. Lodowaty deszcz przebiegł mu po skórze głowy. Cóż mógł zrobić? Próba odpędzenia konia byłaby niedorzeczna. A opuszczenie lasu, gdy deszcz wciąż lał, było niemożliwe. Tymczasem myśl, że jest obserwowany, coraz bardziej go denerwowała i w końcu zmusiła do obejrzenia się znów wstecz, aby zobaczyć, czy koń się poruszył. Lecz on stał tam nadal tak jak przedtem.

To było niedorzeczne. Opanował się i umyślnie odwrócił z mocnym postanowieniem, że nie zwróci już więcej na konia uwagi. Jeśli koń chce tu być z nim razem w lesie, to trudno. Jeśli chce gapić się na niego, to też trudno. Utwierdzał się w tym postanowieniu, gdy ziemia zadrżała i usłyszał stapanie ciężkiego cielska schodzącego w dół lasem.

Błyskawicznie dźwignął się na nogi i odwrócił. Koń znajdował się niemal tuż nad nim, z wyciągniętą naprzód szyją, ze stulonymi uszami, a rozwarłe wargi odsłaniały długie, żółte zęby.

Mężczyzna ogarnął jednym szybkim jak błysk fleszu spojrzeniem jego nabiegłe krwią oczy w momencie, gdy rzucił się do tyłu, za drzewo. W jednej chwili mężczyzna był już daleko, mknąc szybko po zboczu, smagany przez gałązki dębowe, kiedy przeskakiwał jeżyny i zarośla, przepychając się przez gęstwinę drzew, aż potknął się i rozłożył na ziemi. Gdy padał, przebiegło mu przez myśl ostrzeżenie, że powinien za wszelką cenę uchronić ubranie przed spleśniałymi liśćmi, lecz jakiś silniejszy instynkt kazał mu gwałtownie obrócić się na bok. Obrócił się, a następnie usiadł i spojrzął w tył, gotów każdej chwili przewrócić się na bok. Oddychał szybko z podniecenia i wysiłku. Koń

zniknął. Las był pusty i tylko szary deszcz bębnił, kołysał paprocie i połykiwał na gałęziach.

Podniósł się z wściekłością. Otrzeputując ubranie z brudu i liści, jak umiał, rozglądał się za jakimś narzędziem obrony. Jasne, że koń był szalony, musiał mieć guz na mózgu lub coś w tym rodzaju. Albo może był tylko złośliwy. Deszcz czasem wprawia zwierzęta w dziwne stany. Cokolwiek to było, mężczyzna miał zamiar opuścić las jak najszybciej, bez względu na deszcz.

Skoro koń zdawał się biec w dół lasem, droga do farmy po drugiej stronie wzgórza była wolna. Po drodze mężczyzna odłamał z jednego z dębów uschłą gałąź, długą na jard, o grubości nadgarstka, lecz zaraz odrzucił ją i wilgotną chusteczką wytarł ręce ze szlamu pozostawionego przez przegniłą, mokrą korę. Teraz już wydawało mu się mało prawdopodobne, żeby koń chciał go zaatakować. Najprawdopodobniej koń tylko schodził w dół lasu w poszukiwaniu lepszego schronienia i przechodząc udał, że go atakuje — z ciekawości lub z chęci zabawy, albo z innego powodu. Przypomniawszy sobie, że konie nieraz grożą sobie nawzajem galopując na wybiegu.

Las wspinał się na stromy nasyp porośnięty krzewami głogu wzdłuż całego grzbietu pagórka. Mężczyzna podciągnął się ku szczelinie w żywopłocie za pomocą ogołoconej gałęzi jednego z głogów, nagle znów schylił głowę i skulił się. Przed nim rozciągała się falista pochyłość pól, z których unosiły się dymiące opary w wolno zacinającym deszczu. W środku pierwszego pola, wysoki jak posąg i widmowo srebrny w przyćmionym świetle, stał koń i patrzył na las.

Mężczyzna z wolna opuścił głowę, ześliznął się z nasypu i przykucnął. Ogarnęło go straszliwe poczucie

.1!

bezbronności. Był pewien, że koń patrzy wprost na niego. Czyżby na niego czekał? Czy był jasnowidzący? Prawdopodobnie oszalone zwierzę może być jasnowidzące. Zarazem zawstydział się, że tak idiotycznie się zachowywał, przykucając i czołgając się w taki sposób, aby nie być zauważonym przez konia. Usiłował wyobrazić sobie, że każdy człowiek przy zdrowych zmysłach po prostu poszedłby do domu. To go, nieco uspokoiło, więc zaczął schodzić z powrotem w dół lasu. Wróci drogą, którą tu przyszedł, biegnącą tuż pod grzbietem wzgórza, i nie popełni już więcej głupstw.

Las szumiał, a deszcz kładł się na nim zimnym ciężarem, co raczej obserwował, niż czuł. Woda przenikała przez jego ubranie i chlupała w butach, gdy przedzierał się ostrożnie drogą usłaną gałązkami i liśćmi. W każdej chwili oczekiwał, że ujrzy czarną głowę ze sterczącymi uszami, patrzącą na niego zza ogrodzenia w górze.

Na skraju lasu przystanął i przywarł do jednego z drzew. Powodzenie ostatniego manewru przywróciło mu wiarę w siebie, lecz nie chciał ryzykować wyjścia na otwartą przestrzeń bez upewnienia się, że koń znajduje się nadal w miejscu, w którym go zostawił. Najlepszym posunięciem byłoby spokojne wycofanie się i pozostawienie konia stojącego tam na deszczu. Znów przeczołgał się wśród drzew ku szczytowi pagórka i zaglądnął przez żywopłot.

Szare pola i cały stok były puste. Przeszukiwał wzrokiem daleki widnokrąg. Było zupełnie prawdopodobne, że koń zapomniał o nim całkiem i odszedł stąd. Podniósł się i wychylił, aby wy badać, czy koń nie podszedł do ogrodzenia. Zanim zdołał zdać sobie sprawę z czegokolwiek, ziemia zadrżała. Odwrócił się gwałtownie, aby zobaczyć, w jaki sposób został osaczony.

Czarny kształt rysował się nad nim w świetle. Zdawało się, że rzenie konia i uderzanie kopyt rozpryskujących błoto słycać w jego mózgu, gdy upadł do tyłu na zbocze i znów poderwał się na nogi jak szaleniec, potykając się wśród dębów i wyobrażając sobie, jak spadnie na niego potężny cios i powali go twarzą do ziemi. Na dole, w połowie iasu dęby ustąpiły miejsca paprociom, starym korzeniom i jamom króliczym drażonym między kamieniami. Był już dobrze w połowie drogi, zanim zdał sobie sprawę, że biegnie sam.

Z trudem łapiąc oddech i klnąc bezwiednie, nie myśląc o ubraniu, usiadł na ziemi, aby dać odpoczynek drżącym nogom. Pozwalał na to, aby deszcz zlepił mu włosy nad czołem, i przypatrywał się gęstym, smagającym strugom, które znikwały błyskawicznie w ziemi wokół niego, jak gdyby patrzył na nie przez grubą tafłę szklaną. Wykonał szereg głębokich wdechów, usiłując w ten sposób uspokoić serce i odzyskać panowanie nad sobą. Prawy mankiet jego spodni był rozdarty w szwie, a marynarka zbryzgana żółtym błotem z pola na szczycie wzgórza.

A koń oczywiście był tam nadal, przebiegł wzdłuż ogrodzenia nad stromo położonym polem, i czekał teraz, aż mężczyzna wyjdzie na skraj lasu, jak to miał właśnie zamiar zrobić. Musiał wyrzeć przez ogrodzenie w niewłaściwym kierunku — w odległości kilkunastu jardów od konia. Ostatni atak konia wyjaśnił w każdym razie jedną rzecz. Nie musiał postępować jak głupiec tylko z powodu niepewności, czy koń rzeczywiście chce po prostu się bawić. Koń najwyraźniej go szukał. Mężczyzna podniósł dwa kamienie prawie tak duże jak gęsie jaja i wyruszył w głąb lasu beztroskim krokiem.

Pętla rzeki opasywała całą tę orną ziemię. Jeśli

obejdzie małą łąkę na dole, na skraju lasu, może zrobić trzymilowe koło z powrotem do drogi. Jak sobie przypominał, głębokie doły na brzegu rzeki były wypełnione kamykami i stanowiłyby doskonałe miejsce do obrony, jeśliby koń poszedł tam za nim.

Głogi, które zarastały las dołem — niektóre z nich wielkości dużych drzew — spletały się w przegrodę prawie nie do przebycia. Znalazł miejsce, gdzie bujny gąszcz trochę się przerzedzał, i zaczął odsuwać na bok długie kolczaste gałęzie przepychając się ku przodowi. Nagle zatrzymał się. Przez błękitną zasłonę nagich gałązek dojrzał w polu poniżej lasu znajomy kształt.

Lecz koń zdawał się go jeszcze nie dostrzegać, gdyż patrzył ponad polem na rzekę. Mężczyzna powoli oswobodził się z cierni i wspinał się z powrotem przez polanę ku tej części lasu, w której jeszcze nie był. Jeśli tylko koń pozostanie tam w dole, on będzie mógł postąpić zgodnie z pierwotnym i najprostszym planem — pójść do góry lasem, na drugą stronę wzgórza i na farmę.

Zauważył teraz, że niebo znacznie pociemniało. Z każdą chwilą intensywność deszczu wzrastała i zwiększała się jego presja, jak gdyby ziemia miała być zatopiona przed nastaniem nocy. Przed nim majaczyły dęby. Ziemia dudniła. Zaczął biec. A biegnąc słyszał nieco mocniejszy, ścigający go odgłos. Obrócił się. Na środku polany stał koń. Zdawać by się mogło, że biegł, aby wydostać się z tej okropnej ulewy, gdyby nie to, iż wyszedł wprost na niego, rozrzucając glinę oraz kamienie niezwykle zwinnymi i mocnymi ruchami nóg. Mężczyzna wydał rozzwierający okrzyk i rzucił kamieniem, który trzymał w prawej ręce. Skutek był natychmiastowy. Czy z powodu okrzyku, czy to kamienia koń stanął dęba, jakby natknął się na ścianę, i rzu

cił się w lewo. Gdy opadł z powrotem na cztery kopyta, mężczyzna rzucił drugim kamieniem z odległości dziesięciu jardów i ujrzał, jak lśniąca błotnista plama pojawiła się nagle na błyszczącym czarnym boku. Koń rzucił się w dół lasu, rozpryskując ziemię jak wodę i potrząsając długim ogonem, aż zniknął w głogach.

Mężczyzna rozglądał się za kamieniami. To spotkanie przyśpieszyło mu tętno krwi w skroniach i nappełniło szaleńczą energią. W tej chwili byłby zdolny zabić tego konia. Nie mógł znieść myśli, że zwierzę *wy* brało go i zabawiło się z nim w tak złośliwy sposób. Pomyślał, że ten, kto jest jego właścicielem i puszcza wolno tak niebezpieczne zwierzę, zasługuje na to, aby skrócić jego koniowi kark.

Mężczyzna wyszedł na skraj lasu gotów do podjęcia otwartej walki i wciąż poszukując odpowiednich kamieni. Było ich tu sporo, ułożonych w stos lub rozrzuconych wokół, tak jak zostały wyciągnięte z pola w czasie orki. Wybrał dwa, a gdy wyprostował się, zobaczył znów konia, który patrzył na niego spokojnie, stojąc na środku stromo opadającego pola w odległości dwudziestu jardów. Przypatrywali się sobie nawzajem.

— Wynoś się! — zawołał wymachując ręką. — Wynoś się stąd! Idź precz! — Koń strzygł sterczącymi uszami. Mężczyzna rzucił z całej siły kamieniem. Kamień wzbil się w górę i upadł w oddali na ziemię z głuchym łoskotem. Mężczyzna podniósł następny kamień i znów nim rzucił. Przez dobrą chwilę kontynuował to bombardowanie nie trafiając do celu; doprowadzony do rozpaczki rzucał z coraz większą zaciekłością, aż ręka rozbolała go od wysiłku, do jakiego nie był przyzwyczajony.

Podczas tych jego poczynań koń nie spuszczał z niego wzroku. Wreszcie mężczyzna musiał przerwać, aby dać odpoczynek zmęczonym mię

śniom barków. A koń, jakby właśnie na to czekał, pochyliwszy dwukrotnie głowę do przodu, ruszył na niego całym pędem. Mężczyzna podniósł dwa kamienie i z krzykiem rzucił z całej siły, tym, który trzymał w prawej ręce. Zdumiał go odgłos uderzenia. Wydawało się, jakby trafił w dachówkę — a koń rzeczywiście potknął się. I znów człowiek z okrzykiem skoczył do przodu i cisnął drugim kamieniem. Zdawało się, że jakaś wyższa siła czuwa nad celnością jego rzutów. Kamień trafiwszy konia poszybował gwałtownie wirując w locie, a koń odwrócił się i pogalopował w dół, ku białemu krańcowi pola, sadząc wielkimi kołyszącymi się susami, potem biegnąc truchtem i pozostawiając głębokie, bulgocące dziury w ziemi. Potem koń zawrócił ku odległemu krańcowi pola i wspinał się, aż znalazł się na równym poziomie z człowiekiem. A on odczuł niespodziewaną litość, widząc, jak zwierzę zatrzymuje się, by pochylić głowę i po-skrobać ucho przednim kopytem — podobnie jak to robi kot.

— Pozostań tam, gdzie jesteś! — krzyknął mężczyzna. — Nie ruszaj się stamtąd, a nikt ci nie zrobi krzywdy.

I rzeczywiście koń przystanął wtedy posłusznie i obserwował wspinaczkę mężczyzny na szczyt wzgórza.

Deszcz siekł po twarzy wędrowca, który uświadomił sobie, że przemarznął, jakby całe ciało miał przesiąknięte wodą. Zdawało się, że farma jest oddalona

0 wiele mil od tych posepnych pól. Nie patrząc więcej na konia — był teraz zbyt wyczerpany, by dbać o to, co koń robi — napełnił lewą zgiętą rękę kamieniami

1 zagłębił się w błotniste pustkowie.

Był już w połowie drogi do pierwszego ogrodzenia,



gdy koń pojawił się znów w leśnym zakątku; czujny, z uniesionym do góry łbem ostro rysował się na tle nieba, gdy stał tam, obserwując mozolny pochód mężczyzny poprzez trzy kolejne pola.

Glina sięgająca po kostki hamowała jego marsz. Każdy krok był osobnym, przemyślanym wysiłkiem, wyciągał człowieka z wsysającej w głąb ziemi, tym bardziej że mężczyzna był obciążony przemokniętym ubraniem, ładunkiem kamieni oraz ciałem, które też niemal zamieniło się w błoto. Usiłował utrzymać mia-rowość oddechu, dwa kroki w głąb, dwa na wierzch, a powietrze rozdzierało mu płuca. Na środku ostatniego pola zatrzymał się i rozglądał. Koń, miniaturowy teraz na tle nieboskłonu, stał bez ruchu.

W rogu pola mężczyzna otworzył zaciśnięte ręce i wysypał kamienie na ziemię przy słupku bramy, o którą się oparł. Farma znajdowała się tuż przed nim. Znów uświadomił sobie, że deszcz pada. Zapragnął nagle wyciągnąć się na ziemi, by całym ciałem wchłonąć chłodne, uzdrawiające krople i zatracić pamięć o sobie wśród ostatecznej beznadziejności błota. Z ogromnym wysiłkiem przeniósł ciężar swego ciała przez bramę. I znów, oparłszy się o słupek, spoglądał na wzgórze.

Deszcz rozpuszczał ziemię i niebo jak mokrą akwarelę, w miarę jak popołudnie zaćmiewał mrok. Mężczyzna skoncentrował się i uniósłszy głowę, przeszukiwał horyzont od krańca do krańca. Koń zniknął.

Wzgórze wyglądało na wymarłe i opustoszałe jak wyspa, wynurzająca się z dna morza i zalewana wodą podczas przyprawów.

Pod wielką szopą, gdzie ustawiono traktory, pług, powrósta i resztę sprzętu gospodarskiego w oczekiwaniu na stosowną porę roku, mężczyzna usiadł na worku narzuconym na pojemnik z benzyną, drżąc z zimna

i ciężko dysząc. Zmieszany zapach parafiny, kreozotu, nawozów sztucznych i kurzu — wszystko było dokładnie takie samo jak przed dwunastu laty. Strzępiaste jaskółcze gniazda wciąż tkwiły w rogach krokwi. Przypomnił sobie trzy martwe lisy o zakrwawionych zębach zawieszane rzędem u powały.

Przeżycie z koniem oderwało się już od rzeczywi-J stości. Trwało nadal w jego podświadomości niby niepojęta mieszanina lęku i wstydu, jak po uniknięciu cudem wypadku ulicznego. Odczuwał silny ból w klatce piersiowej, jakby kłuł go tam jakiś kościany szpikulec; zastanawiał się, czy aby nie nadwreżył sobie serca podczas tego ostatniego bezsensownego biegu z ciężarem. Sztuka po sztuce zdejmował z siebie ubranie wyciskając z niego szarą wodę, lecz wkrótce przerwał to zajęcie i tylko siedział wpatrując się w ziemię, jakby wycięto mu jakąś istotną część mózgu.

*f*

Niedziela

Michał maszerował obok siostry do kościoła, stukając odświętnymi butami o bruk, aby rażne, przenikliwe echo odbijało się od ścian domów.. Miał na sobie wstrętne, niebieski blezer z przypiętą doń bezwartościową odznaką, niczym zaszczytny mundur dający mu przywileje. W kościele siedział wyprostowany, ze złożonymi rękami, a nie tak, jak w swej zwykłej pozycji podczas nabożeństwa — ze skurczonym jak krewetka kręgosłupem i z podbródkiem wbitym w ramiona, jakby pod nieustannym naciskiem czyjejś wielkiej ręki. Śpiewał hymny, a podczas modlitw myślał radośnie o „Knajpie Górnego Nabrzeża”, próbując przypomnieć sobie, o której godzinie otwierano takie miejsca.

Cały ten zapał nie mógł jednak dorównać kazaniu. Głos pastora szybował między belkami niezmordowany, jakby duchowny odbywał nieprzerwaną próbę w teatrze, aż wreszcie po dziesięciu minutach te organowe modulacje głosu zaczęły wystawiać Michała na męki niecierpliwości. Koniuszki nerwów na całym jego ciele zjeżyły się i poczuł w nich mrowienie. Musiał niemal osunąć się na kolana. Myśli o tym, by zawołać „No trudno!” — raz westchnąć głęboko albo po prostu wybiec z kościoła, zrosiły mu leciutko czoło potem. W końcu przymknął oczy i wyobraził sobie wilka galopującego przez ośnieżony, zalany blaskiem księżyca las. Niechybnie ten obraz był pierwszą rzeczą, jaka

.19

pojawiła się w jego umyśle, ilekroć przymykał oczy w takich kłopotliwych sytuacjach w szkole, w poczekalniach i w towarzystwie gości. Wilk pędził co sił przez ziemię ogołoconą ze wszystkiego z wyjątkiem drzew i śniegu. Wkrótce Michał poszybował myślą ku bardziej nieokreślonym przedmiotom, zażył kilku chwil swobody, zanim niecierpliwość oderwała go od tych myśli z powrotem, aby zobaczyć, jak rozwija się kazanie. Wciąż wlatywało ku górze, więc Michał zamknął oczy i wilk znów się pojawił.

Kiedy otwarły się drzwi, wpuszczając strumień światła, Michał poczuł się oszołomiony. Przepychał się razem z tłumem. W tym dniu niedzielne niebo o godzinie jedenastej przed południem poraziło go blaskiem. Zapomniał, że jest tak wcześnie. Lecz to światło i cały ten świat na zewnątrz przywróciły mu pośpiesznie pamięć. Zostawił siostrę w głębi kościoła, schowaną pośród różowo-błękitnego bukietu jej przyjaciółek, omijając pastora, który z grubsza obszedłszy swych wiernych wewnątrz kościoła, szybko krążył teraz wokół kruchty kościelnej, by przypieczętować osobiście miażdżącym uśmiechem i miękkim opiekuńczym uściskiem ręki każdą ze swych owieczek, kiedy przemykały się do wyjścia. Michał szedł susami po trzy kroki i szybko posuwał się zatłoczoną ścieżką wśród grobów jak człowiek, któremu poruczono ważne zadanie.

Zaledwie jednak minął furtkę, szwy jego butów zdawały się go uwierać — wilgotne włosy przylgnęły do skóry na głowie. Zwolnił kroku.

Aż po najdalszy kraniec widnokregu panowała wszechwładnie niedziela. Zbocza doliny mokre w ciągu tygodnia, zwieszające się, nieprzebyte lasy i pełne kałuż farmy były dziś czyste, dalekie i nieskazitelnie piękne — piękne jak widokówki. Błękitne niebo,



iskrzące się, wolne od dymu niedzielne powietrze oczyściło krajobraz. Wycieczkowicze oraz wracający z kościoła już tam byli na górze, rozrzućeni jak confetti po stromych drózkach i ścieżkach, pnąc się niedostrzegalnie w górę ku brunatnej smudze wrzosowisk. Nieskazitelne, niewinne, bogobojne stoki! W całej okolicy codzienny rytm życia został zawieszony na ten dzień.

U stóp Michała miasto lśniło w czystym powietrzu i w blasku słońca. Przez cały tydzień przypominało z tego miejsca wulkaniczny dół, gdzieś gdzieś bezdennie głęboki, poszarpaną rozpadlinę w siarczanym podziemiu, a dym snuł się jak wystrzępione runo z kominów fabryk i stojących rzędem domków. Teraz miasto o cichych uliczkach i błyszczących podwórkach spoczywało jakby pod płytką wodą, ciepłą i przezroczystą.

Nawet chodniki miały w sobie coś niedzielnego, coś nietykalnie czystego, choć od brudnej soboty nie przeszło po nich nic prócz coraz liczniejszych stóp i ciemności.

Czując choć raz wyższość w stosunku do tego wszystkiego i rozkoszując się każdą rzeczą po drodze, Michał schodził ze wzgórza ku miastu wielkimi krokami, które wciskały mu końce palców w czubki butów. Skręcił do parku miejskiego, a minawszy po drodze wózki dziecięce, ogródki skalne, chronione trawniki oraz drzewa oznaczone tabliczkami, przeszedł przez ozdobny most nad kanałem, aż znalazł się na trawniku do gry w kule, rozpościerającym się między kanałem a rzeką.

Jego ojciec już tam był, na najdalszym krańcu trawnika, a wraz z nim dwie dobrze znajome postacie: Harry Rutley, masarz, i pan Stinson, wysoki, chudy, czarny jak sadza mężczyzna, który trzymał głowę uniesioną w górę jak ślepiec i niewiele mówił, a jeśli

już się odzywał, to jakby zwierając sobie najintymniejsze myśli. Na tego człowieka Michał wolał nie patrzeć, więc usiadł na ławce w parku poza zasięgiem kul do gry, usiłując zwrócić na siebie uwagę graczy. Ścieżki były zatłoczone ludźmi. Poprzedniej nocy przechodziła tędy istna defilada par, czwórek, całych grup oraz samotników — energia elektryczna nagromadzona od poniedziałku przy warsztatach tkackich, maszynach do szycia i ladach sklepowych — wirowała i znajdowała ujście w bocznych ścieżkach wśród krzewów w chichoczącej ciemności i krzykach. Teraz jednak były tu rodziny; po wyjściu z kościoła przesuwawała się procesja szelestów i szeptów, piersi spowitych koronką, ciasnych niebieskich garniturów w prążki i stokrotkowych wianuszków dzieci. Wkrótce Michał poczuł zmęczenie, zapragnął, aby kule do gry uderzyły na ukos lub w pagórek pokryty trawnikiem, by potoczyły się o parę kroków dalej lub w koryto rzeki, albo też, żeby się zderzyły i rozpadły na pół. Zobaczył, że zegar na kościele metodystów wskazuje kwadrans po jedenastej i przez pięć minut nie spuszczał zeń wzroku, przekonany, że zegar stoi.

Wstał, gdy trzech mężczyźni podeszli, aby przyjrzeć się położeniu kul.

— Czy pójdziemy już, tato?

— Tylko chwilkę, chłopcze. Podejdz tu i zagraj.

Oznaczało to co najmniej jeszcze jedną partię, niezależnie od tego, czy Michał weźmie w niej udział, czy nie. Jeszcze jeden kwadrans! A podejść i wziąć dwie kule oznaczałoby tyleż co zgodę na pozostanie tam i kontynuowanie gry do godziny pierwszej.

— Możemy się z nim rozminąć.

Ojciec Michała roześmiał się. — Pewnie przypomniał sobie o swej obietnicy — pomyślał Michał.

— Nie przyjdzie, dopóki wszystko nie będzie gotowe. Nie rozminiemy się z nim.

Ojciec Michała pchnął kule ku sobie, a Harry Rutley przesunął gumową matę na miejsce.

— Lecz czy on na pewno tam będzie?

Niedzielny obiad przybliżał się z każdą chwilą. Po nim następowało senne niedzielne popołudnie i niedzielny podwieczorek, zatruty towarzystwem ciotki. Ojciec Michała znów się roześmiał:

— Rudy Billy przyjdzie dziś, prawda, Harry? Błady, flegmatyczny, korpulentny Harry Rutley

zamierzył się kulą celowniczą. Stracił koniuszek ucha w Dardanelach, a kawałeczek swego piątego zębra nosił na końcu łańcuszka od zegarka. Teraz zmrużył oczy, wpatrując się w jedno źdźbło trawy na odległym rogu trawnika.

— Rudy Billy? Co niedziela tam jest. Punktualnie o dwunastej. —

Pochylił ciało, aby zamachnąć się ramieniem do przodu i wyprostował się, gdy kula celownicza potoczyła się daleko po trawniku. — Nie mam pojęcia, jak on to robi.

Kula zatrzymała się o pół metra od dalekiego rogu trawnika. Rozegrano jeszcze cztery partie. Rzucali do Michała, potem daleko na ukos w prawo, potem nastąpił krótki "rzut na lewo i znów bliski na prawo. W końcu trawnik był przepełniony dziewięcioma lub dziesięcioma partiami rozgrywanymi naraz i krzyżującymi się. Co chwila rozlegały się okrzyki: „Usunąć się”, a kule stukały o siebie pośrodku trawnika.

Na kwadrans przed dwunastą, Michał wciąż siedział markotny z powodu kary, którą mu wymierzono, i pewności, że ten dzień jest stracony — trzech mężczyzn opuścili trawnik, odłożyli kule i skręcili w dół na ścieżkę flisacką nad brzegiem kanału.



Dolina zwięzła się, a jej zbocza stały się bardziej strome. Droga, rzeka i kanał harmonijnie ciągnęły się wzdłuż pasa nieużytków, szerokiego tylko na dwadzieścia jardów — gąszczu przegniłych chwastów, krzewów dzikiego bzu oraz zbieleńszych pokruszonych kamieni, naniesionych przez powódź — który oddzielał rzekę od kanału. Wzdłuż odległego brzegu rzeki wciskała się droga, po której od poniedziałku do soboty dudniły kołyszące się ciężarówkami załadowane bawełną, wełną i sukniem. Zbocze doliny, pokryte po tej stronie siecią pól przegrodzonych kamieniami i ryzykownie uwieszonymi farmami i lasami, opadało jakby wprost z nieba w podwórka, z tyłu za przykucniętymi rzędami kamiennych domków tkaczy, których frontowe schody stanowiły niemal część drogi. Rzeka szumiąc głośno płynęła po kamykach. Na skrawku ziemi, między rzeką i kanałem, stała „Knajpa Górnego Nabrzeża” \*— budynki jej zasłaniał brzeg kanału w ten sposób, że ścieżka flisacka biegła równoległe do tylnych okien sypialni;- Po tej strome zbocze doliny porośnięte cienistymi lasami opadało prostopadle ku czarnemu, nieruchomemu kanałowi, który zdawał się głęboki na milę. Woda w nim była jednak całkiem płytka, obramiona zapadniętymi brzegami, pełna błota, tak płytka, że trzciny zarastały jej koryto w niektórych miejscach. Od lat woda nie nanosiła do „Knajpy Górnego Nabrzeża” niczego prócz czarnego, tłustego błota oraz szczurów.

Skreśli z flisackiej ścieżki na szeroki, wybrukowany dziedziniec przed gospodą.

— Siadź tutaj. Czego chciałbyś się teraz napić?

Michał siadł na popękanej, wyszorowanej przez deszcze ławce pod oknem gospody na dziedzińcu i poprosił o imbirowy napój.

— Zobaczą, czy Rudy Billy już przyszedł. Zobaczą, czy przygotował już jakieś szczury.

Michałowi upał zaczął dawać się we znaki. Oparł się teraz plecami o ścianę, by wykorzystać ostatnią odrobinę cienia pod okapem dachu. Lecz po chwili słońce zalało blaskiem cały dziedziniec. Po zboczach doliny promienie spływały jak w otwór leja, jakby w pułapkę, wzniesając blask w odłamkach kwarcu w startych kocich łbach; wypalała ją barwę ze wszystkiego. Muchy wirowały w powietrzu jak wściekłe, przesywając je lotem strzały, to znów wygrzewając się na kamieniach — wielkie, lśniące, zielone muchy mięsne, które włożyły Michałowi na rękę, ilekroć opierał ją o gorącą ławkę.

Mężczyźni nadchodzili po dwóch, po trzech po moście o pałkowato wygiętej poręczy, który z drogi lub ze ścieżki flisackiej prowadził na dziedziniec. Wszyscy znikali za drzwiami gospody taktownie, swobodnie, trochę jeszcze oszołomieni porannym nabożeństwem, niektórzy w owerolach podartych i spłowiałych od brudnych robót sobotnich. W środku gospody wzmagał się zgiełk. Michał usiłował pochwycić jakąś wzmiankę

O Rudym Billym.

W końcu ojciec Michała przyniósł mu imbirowy napój i powiedział, że wprawdzie Rudy Billy jeszcze się nie zjawiał, lecz wszyscy na niego czekają, i że powinien lada moment nadejść. Przygotowano już kilka okazałych szczurów.

Pomimo upału Michał stracił nagle ochotę na picie. Wydawało mu się, że całe jego ciało słabnie i lekko omdlewa, jakby z głodu. Kiedy wolno popijał, chłodny

1 bez smaku płyn spływał mu do obojętnego żołądka.

Postawił kufel na ławce, a sam poszedł do męskiej toalety. Potem obszedł chyłkiem dziedziniec, za

glądając do starych stajni i wozowni; wszędzie panowało milczenie kamiennej jaskini. Kurz, pajęczyny, szcurze odchody. Stare belki, stare koła i stara uprząż. Beczki i zardzewiałe piecyki. Nasłuchiwał szcurzych odgłosów. Idąc z powrotem przez oślepiający blaskiem i brzęczący dziedziniec, poczuł zapach wołowej pieczeni i słyszał brzęk naczyń w kuchni gospody, a przez otwarte okno dostrzegł czyjeś tłuste ramiona krzątające się przy piecu. Cały świat skoncentrował się na zwykłym niedzielnym obiedzie. Ziemniaki już dymiły, a ludzie siedzący wokół zabijali czas, jak umieli, pełni niecierpliwości, marząc, aby wydarzyło się coś niezwykłego, dobrze jednak wiedząc, że nic takiego Się nie zdarzy. Myśl o tym przygasiła Michała, chciał\* ją od siebie oddalić. Wróci! pośpiesznie na ławkę i usiadł na niej; serce waliło mu mocno jak po biegu. Jakiś samochód sunął przez mały most i zatrzymał się po odległej stronie podwórza; widocznie jego właściciel nie był pewien, czy w ogóle wolno wjechać na dziedziniec. Z auta wysiadł zamożnie wyglądający mężczyzna i młoda kobieta. Młody człowiek rozpiął jasną\* tweedową marynarkę, wsunął ręce w kieszenie spodni i nie śpiesząc się podszedł do drzwi gospody. Dziewczyna szła obok niego na wysokich obcasach, przyglądając włosy i rozglądając się po otoczeniu, jakby dopiero co wyszła z mrocznej czeluści. Oboje stali przez chwilę przy drzwiach gospody, próbując rozstrzygnąć ostatecznie, czy ona ma coś wypić, czy jest to odpowiednie dla niej miejsce i czy powinna w ogóle tam wchodzić. Mężczyzna był pewien, że jest to odpowiednie miejsce, z całą pewnością, i wskazał jej ręką, aby usiadła na końcu ławki obok Michała. Michał prze-

końcu, na ostatnich dziesięciu calach ławki, poprawiając i naciągając na kolana szeroką letnią suknię w niebieskie kwiatki, a potem przeglądała się w lusterku. Muchy krążyły wokół, badając to nowe źródło zapachów.

Nagle ktoś krzyknął na progu gospody silnie przeciągając sylaby:

—■ Oto idzie nasz człowiek.

Natychmiast wielu ludzi z kuflami w ręku stłoczyło się w drzwiach gospody.

— Nadchodzi.

— Rudy Zabójca!

— Biedaczysko. Wygląda, jakby żywił się szczurzym mięsem.

— Nalej mu kwaterkę, Gab.

Przez most szła w kierunku dziedzińca powłócząc nogami jakaś obdarta postać, wysoka na pięć stóp. Mężczyzna podobny do stracha na wróble, aż bezbarwny od opalenizny i wyczerpany — Rudy Billy, łapacz szczurów. Jego ubocznym zajęciem była hodowla kur, i sam też z powodu swych drobnych, zapadniętych rysów twarzy oraz rudych włosów nieco przypominał oskubaną, pogryzioną przez pchły czerwoną kurę. Po wyglądzie jego odzieży można by sądzić, że sypia na ziemi w kurniku, pod grzędami. Z jedną ręką w kieszeni, zgięty wpół, włókł się jakby bez celu i nagle zatrzymał się. Następnie, aby pokazać, że mimo wszystko przyszedł tylko po to, by posiedzieć na słońcu, usiadł przy Michale wydając długie westchnienie.

— Cóż za wspaniały dzień — oznajmił. Jego głos nie był silny — bezdźwięczny i drżący jak pęczek trawy pełen kurzych piór i pyłu.

Michał przyjrzał się z bliska ukradkiem tej pomarszczonej, niechlujnej, pięćdziesięcioletniej twarzy, na

ciągniętej na zbyt małą czaszkę. Trudno było odczytać w niej cokolwiek pod czterodniowym zarostem, rozszerzonymi porami i głębokimi fałdami skóry, lecz widniało tam kilka śladów, które mogły być dawnymi ugryzieniami szczurów. Billy miał małe wyschnięte usta i wciąż poruszał wargami, jakby nie mógł ich odpowiednio ułożyć. Wzdychał pochylając się do przodu i opierając łokieć na jednym kolanie, potem znów wzdychał i zmieniał pozycję, opierając z kolei drugi łokieć na drugim kolanie jak człowiek zbyt zmęczony, by odpocząć.

— Proszę, weź Billy.

Z drzwi gospody wychyliła się czyjaś ręka trzymająca wysoko kufel piwa jak godło i Billy z zadziwiającą gotowością poderwał się i znikł w gospodzie; biorąc po drodze do ręki kufel, rzekł:

— Zrobiłem cholerne głupstwo. Całą drogę przeszedłem bez forsy.

Rozległ się uprzejmy huragan śmiechu, a Michał zdał sobie nagle sprawę, że patrzy na przypudrowany profil dziewczyny. Dziewczyna spoglądała na starannie polakierowany paznokieć dużego palca u nogi, który rozmaicie zginany ukazywał całą lśniąca powierzchnię.

W gospodzie zaczynało się ożywienie — ostre, głośno wypowiedane uwagi wyzwały burzliwe wybuchy śmiechu i gromkie okrzyki.

Wyszedł stamtąd młody mężczyzna, opanowany, poważny i podał dziewczynie jasny kieliszek na wysokiej nóżce, z wiśnią w środku. Usiadł pomiędzy nią i Michałem, zginając kolana i nachylając twarz do przodu, aby wychylić spieniony kufel jednym doświadczonego, szybkim haustem.

— On tam jest — rzekł ocierając usta. — Przygotowują go.

Dziewczyna spojrzała mu w twarz i otwierając sze

roko oczy przechyliła kieliszek, aż wiśnia wpadła do jej ściągniętych czerwonych warg.

Omijając ją wzrokiem Michał popatrzył w kierunku drzwi. Pojawiła się w nich nowa postać, prawdopodobnie właściciel gospody, Gabryś — okryta fartuchem półkula, z okrągłą, czerwoną tłustą twarzą, która podnosiła się teraz w górę, by ogarnąć wzrokiem przeciwległy stok pagórka.

— W porządku — zawołał właściciel. — Zaraz je przyniosę.

I odszedł w kierunku wozowni, a wytarłszy ręce o fartuch pomachał nimi po bokach jak lotkami pingwina. Wszyscy wyszli z gospody i Michał również wstał dziwiąc się, że aż tylu ludzi nagromadziło się tam w środku. Mężczyźni krzyczeli i śmiali się, przystając, by popić z kufli, oraz krążąc tu i tam rozrzuconymi grupkami. Michał podszedł i stanął przy ojcu, który należał do czwórki najbardziej podekscytowanych mężczyzn. Musiał zapytać dwukrotnie, zanim ojciec wreszcie go usłyszał. Nawet dla samego Michała jego własny głos brzmiał ciszej niż zwykle i był pusty, jakby w gruncie rzeczy chciał zapaść się w jego wnętrzości i ukryć tam w zupełnym milczeniu, pozwalając zdarzeniom potoczyć się swoją koleją.

— Ile sztuk Billy zabije?

— Zdaje się, że złapali dwie. — Ojciec Michała zwrócił się częściowo w jego stronę. — Zwykle łapią dwie lub trzy sztuki.

Nikt nie zwracał uwagi na Rudego Billy'ego: stał i on nieco na uboczu z rękami zwisającymi z lekko przygarbionych pleców, w postawie, która wydawała się mniej więcej typowa dlań, i uśmiechał się z roztargnieniem do hałaśliwych, krzepkich mężczyzn stojących grupkami. Wyprostował się i wyraźnie poweselał,

gdy ostatni mężczyzna opuścił gospodę, wymachując przepelnionym po brzegi kuflem. Michał obserwował. W momencie gdy kufel dotknął pomarszczonych ust Billy'ego, wyblakłe małe oczko ożywiło się gwałtownie tłumioną zawziętością. Długa, chuda, nie ogolona szyja wyciągnęła się ku górze i piwo w szklance zaczęło raptownie znikać. W kilka sekund opuścił opróżniony kufel, wytarł usta rękawem i rozejrzał się dokoła. Potem, skoro nikt nie podszedł do przodu, aby napełnić mu szklanke, postawił kufel na kamieniach i wyprostował się osuszając ręce o marynarkę.

Spojrzenie Michała przesunęło się w bok i znów zobaczył dziewczynę. Odczytał swe własne myśli w jej hipnotycznym, pełnym niedowierzania wzroku. Siedzący przy niej młody mężczyzna także obserwował, lecz bystro, popijając małymi łykami piwo.

Wydawało się, że słońce zatrzymało się w górze wprost nad nimi. Kilku mężczyzn zdjęło marynarki > i zaczęło niestosownie i hałaśliwie dokazywać, wymierzając kilka udanych ciosów. Ktoś zaproponował, żeby pójść nad kanał i pozwolić Rudemu Billy'emu wykonać jego sztuczkę pod wodą, a ktoś inny parsknął śmiechem tak gwałtownie, aż piwo wytrysnęło mu nosem. Na przeciwległym brzegu, wysoko na stoku, Michał mógł dostrzec szereg niedzielnych spacerowiczów, kroczących powoli przez oślepiającą szarość pól. Płaszczki mieli zarzucone na ramiona, krawaty włożone do kieszeni, buty zadawały tortury nogom, dziewczęta zaś domagały się, by je pchać pod górę — lecz jeśli zatrzymywali się na chwilę, odczuwali lekki podmuch wietrzyka. Na wyłożonym kocimi łbami dziedzińcu zaczęło płąsać upalne powietrze. — Proszę, oto one.

Właściciel gospody szedł kołyszącym się krokiem

przez środek dziedzińca, podnosząc do góry prostokąt- I ną drucianą klatkę. Ze szczękiem postawił ją na ka- I mieniach.

— Oto dwa najlepsze.

Wszyscy stłoczyli się wokoło. Michał przecisnął się do przodu i przykucnął przy klatce. Zapadło pełne po- 'J dziwu milczenie. Skulone w dwóch przeciwległych ro- I gach klatki, z opuszczonymi, wyciągniętymi głowami i z grzbietami przyciśniętymi do drutów tak, że lśniaca, 0 czarnych koniuszkach sierść zjeżyła się, siedziały dwa duże brunatne szczury. Były spokojne. Długi różowa- 1 woszary ogon, grubości kciuka Michała, zwinął się u nóg chłopca. Michał dotknął delikatnie owłosionego koniu- 1 szka ogona wskazującym palcem.

— Uważaj, chłopcze!

Szczur zwinął ogon pod siebie, skoczył z łoskotem na drugą stronę klatki i chwytając jeden z cynkowych prętów w krzywe, żółte zęby, potrząsnął nim, aż cała klatka zagrzecotała. Drugi szczur opuścił swój ką J 1 zaczął biegać tam i z powrotem wzdłuż boku klatki I ciągłym, płynnym ruchem, obwąchując pręty z góry na | - dół. Wtem oba szczury zatrzymały się i przysiadły na tylnych łapkach jak osoby wytracone z transu, nagle J rozpoznające ludzi. Ich nosy drżały, gdy odwracały sku- I piona pyszczki, o szarych bródkach, badawczo przy- I glądając się jednej twarzy po drugiej.

Właściciel gospody obluzował pętlę na końcu dwóch długich kawałków brudnego sznurka. Znów uniósł do góry klatkę:

— Ghwyć za ogon, Walt.

Gromada ludzi napierała bliżej. Czyjaś ręka wysunęła się i wędrowała w pogotowiu pod dnem wysoko trzymanej klatki. Szczury poruszały się niespokojnie. Właściciel potrząsnął klatką i szczury zderzyły się.



Długi ogon zwisał między prętami. Czyjaś ręka chwyciła go i pociągnęła.  
— Trzymaj ogon.

Właściciel nasunął pętlę na ogon szczura aż po jego nasadę i zacisnął ją mocno. Schwytyany szczur, nie całkiem dotąd zorientowany w swoim położeniu, uświadomiwszy je sobie wreszcie, zgiął się w pałąk jakby pozbawiony kości, gryzł i wstrząsał prętami, wpychał między nie pyszczek, aby dosięgnąć sznurka, który przyciskał jego zadek tuż do boku klatki.

— Trzymaj tylko za sznurek, Walt. Wtedy nie ucieknie, gdy otworzymy klatkę.

Właściciel znów uniósł klatkę do góry, a Walt wciąż trzymał mocno sznurek. Drugi szczur śledząc, co robią jego towarzyszowi, przykucnął w kącie podciągając ogon pod siebie.

— Sprytny mały draniu. Wiesz, co mam zamiar zrobić, prawda?

Gospodarz potrząsnął klatką, lecz szczur przywarł do niej mocno; różowe łapki chwyciły druty klatki jak ręce. Właściciel wciąż potrząsał gwałtownie klatką.

— Ruszaj się, mały uparty draniu — nalegał gospodarz wciąż wstrząsając klatką nagłymi, gwałtownymi ruchami.

I wtedy szczur zadziwił wszystkich. Wciskając się coraz głębiej w swój ką, otworzył szeroko pyszczek i zaczął piszczeć — ostry, przeszywający i załamujący się pisk rozlewał się po podwórzu cienką, metaliczną, oślepiającą warstewką, która rozpadała się natychmiast. Gdy jeden pisk zamierał, szczur otwierając pyszczek wydawał zeń następny. Michał nigdy nie przypuszczał, że szczur może robić tyle hałasu. Kiedy szczur dalej przeraźliwie piszczał, żołądek Michała zaczął się kurczyć i rozkurczać jak gruby mięsień. Przez chwilę te

— **Deszczowy kort**

doznania tak mu dolegały, że przestał patrzeć na szczura. Gospodarz wciąż potrząsał klatką, pisk wibrował w powietrzu, lecz szczur przywarł mocno do klatki wciąż siedząc na ogonie.

— Szturchnij go, Gab, a to mały uparty drań! Gospodarz, jeszcze trzymając klatkę nieruchomo, sięgnął do górnej kieszonki i wyjął z niej ołówek. W tej chwili Michał zobaczył, jak dziewczyna wycofuje się z trudem z tłumu i przepycha do tyłu. Krąg napiętych twarzy i nieruchomych nóg znów się zamknął. Szczur obijał się o klatkę, wciąż piszcząc; przeskakując przez swego towarzysza, atakował pręty najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Nagle skulił się w kącie i umilkł. Czyjaś ręka wyciągnęła się i schwytała go za zwinięty ogon. Kolejna pętla była już gotowa. Gospodarz postawił klatkę na ziemi.

Krąg teraz rozsunął się i wszyscy spoglądali w dół na dwa szczury rozpląszczone na dnie klatki; ich ogony falowały bezsensownie na zewnątrz prętów.

— I cóż, Billy — rzekł gospodarz. — Jak ci się podobają?

Rudy Billy kiwnął głową i wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Są wspaniałe — powiedział. — Wspaniałe. Jego nikły, zgrzytliwy głos pobudzał Michała do kaszlu.

— Doskonale. Cofnijcie się.

Wszyscy odsunęli się posłusznie, pozostawiając klatkę, Walta z nogą na napiętym sznurku i gospodarza przytrzymującego nogą drugi sznurek pośrodku areny szerokiej na sześć lub siedem jardów. Michał zobaczył w oddali młodego mężczyznę z na pół opróżnionym kuflem w ręku.

Dziewczyny nigdzie nie było widać.

Rudy Billy ściągnął marynarkę, odsłaniając sta

raż wojskową koszulę z oberwanym niemal całkiem lewym rękawem. Podciągnął powyżej paska spodnie, splunął na dłonie i ustawił się w ten sposób, aby drzwi klatki mieć o parę kroków na lewo i przed sobą. Pochylił się naprzód nieco bardziej niż zwykle, ręce zwiesił po bokach jak przezorny zapaśnik, a wzrok utkwiał w klatce.

— Ma oko jak cholerny kroguiec — ktoś szepnął. Zapadło milczenie.

Gospodarz czekał, klęcząc teraz

przy klatce. Nic nie zakłócało tej dramatycznej chwili prócz dalekich obojętnych dzwonów kościelnych.

— Najpierw ten, Walt — rzekł gospodarz. — Gotowy, Billy?

Opuścił dźwignię, która podniosła drzwiczki klatki, i rozluźnił swemu szczurowi sznurek na całą długość pięciu lub sześciu jardów. Koniec sznurka owinął wokół ręki. Walt trzymał swojego szczura na mocno naprężonym sznurku.

Wszyscy obserwowali w napięciu. Uwolniony szczur wciągnął delikatnie ogon i obwąchał owiniętą wokół niego pętlę, nie zwracając uwagi na szeroko otwarte drzwi klatki. Wtem właściciel gospody wyciągnął rękę, by zastukać w klatkę, i wówczas szczur błyskawicznie znikł.

Michał stracił go z oczu. Zobaczył jednak, jak Rudy Billy zrobił pół obrotu i upadł z pląśnięciem na ręce i kolana, na kocie łby.

— Złapał go!

Twarz Rudego Billy'ego skurczyła się, a kiedy szybko poruszał głową z boku na bok, ciemne, wyciągnięte ciało szczura uderzało o jego szyję.

Trzymał szczura za grzbiet. Oczy Michała skoncentrowały się jak oko kamery.

Po kilku wstrząsach Rudy Billy przerwał, opusz

czając głowę. Szczur, uwieszony u jego ust, wciąż kurczył się i rozpręzał. Billy czekał. Wszyscy czekali. Wtedy szczur drgnął spazmatycznie, walcząc wszystkimi czterema łapami, i Billy znów potrząsnął nim gwałtownie; szczurzy ogon śmigał w powietrzu jak bicz. Teraz gdy Billy się zatrzymał, ciało szczura zwisało bezwładnie. Kawałek sznurka, nadal przywiązany do ogona, włókł się po kocich łbach.

. Billy delikatnie odjął szczura od ust i położył go na ziemi. Wyprostował się, splunął kilka razy i zaczął ocierać usta, uśmiechając się z zakłopotaniem. Wszyscy odetchnęli z ulgą, wydając okrzyk podziwu zmieszanego z odrazą; ktoś spytał głośniejszym głosem od innych: — Napijesz się, Billy?

Właściciel poszedł z powrotem do gospody, a większość widzów podążyła za nim, by napełnić swoje kufle. Rudy Billy stał na uboczu, wycierając usta kawałkiem poplamionej tytoniem szmatki.

Michał zbliżył się i pochylił, by popatrzeć na martwego szczura. Jego grzbiet był czarny, wilgotny od śliny, a sierść pogryziona. Leżał na lewym boku, lekko skurczony, z podwiniętymi łapkami, a jego wciąż krągłe, błyszczące oczka zachowały czujny, badawczy wyraz. Michał dotknął długich, sprężystych wąsów szczura. Odrobina krwi sączyła się z nosa zwierzęcia na kocie łby. Gdy Michał przyglądał się, mucha mięsna usiadła na ogonie szczura, poderwała się do lotu i znów wylądowała na szczurzym nosie, badając krew.

Michał podszedł do klatki. Walter stał przy niej i rozmawiał, przytrzymując nogą mocno napięty sznurek. Drugi szczur przykucnął blisko prętów, jakby mu użyczały ochrony. Nie dał po sobie poznać, że dostrzegł Michała, gdy ten pochylił się nad nim. Czarne paciorki szczurzych oczu wpatrywały się gdzieś w jeden punkt,

a gorące, brunatne boki falowały. Jakaś iskierka lśniła na sierści szczura, a Michał przypatrując mu się bliżej, stwierdził, że to pot, i znów zdał sobie sprawę z panującego upału.

Wyprostował się czując tępy ból w głowie. Położył rękę na skórze głowy, wciskając mocno oparzeliznę w czaszkę, lecz to wydawało się nie mieć żadnego związku z tym tępym, głębokim bólem głowy.

— Idę już, tato — zawołał.

— Już? Czy nie przypatrzysz się temu drugiemu?

— Chyba już pójdę. — Ruszył w drogę przez podwórze.

— Dokończ piwa — zawołał za nim ojciec. Michał dostrzegł swój niemal pełny kufel na końcu

ławki, lecz przeszedł obok niego, skręcił koło gospody i skierował się na ścieżkę flisaków. Jawory rosnące po drugiej stronie kanału sklepiły się łukiem nad czarnym, wilgotnym, cienistym zakątkiem i stojącą wodą.

Wysoko w górze zbocza doliny wydawały się posrebrzane, przepalone południowym blaskiem. Udeptana ziemia ścieżki flisaków stwardniała na kamień. Przeszedłszy pięćdziesiąt jardów Michał minął dziewczynę w sukni w niebieskie kwiatki. Szła wolnym krokiem z powrotem ku gospodzie, zrywając źdźbła wysokich nadbrzeżnych traw.

— Czy już skończyli? — spytała.

Michał potrząsnął przecząco głową. Nie mógł wymówić ani słowa. I wtedy puścił się biegiem, ile tylko miał sił.

## Śnieg

Chcę powtarzać to bezustannie: pod moimi stopami jest ziemia, jakiś skrawek powierzchni ziemi. To znaczy pod śniegiem, pod moimi stopami. Cóż mogłoby to być innego? Przypuszczam, że jest twarde i równe. Więc jeśli to nie jest rzeczywiście ziemia ani skała, musi to być lód. Prawdopodobnie to lód. Czymkolwiek jest, stanowi dowód — możliwie najbardziej przekonujący dowód — że znajduję się gdzieś na ziemi, na dobrze znanej ziemi. Byłoby niedorzecznością przekopywać śnieg tylko po to, by dokładnie określić, czy pod spodem jest ziemia, czy lód. Ten pokład śniegu może mieć ponad kilkanaście stóp głębokości. Poza tym śnieg, który wypełnia całe powietrze i zalewa ziemię, wypełniałby jamę tak samo szybko, jak bym szybko go odgarniał, i bardzo prędko zasypałby mnie także.

To nie może być też jakaś inna planeta, powietrze bowiem jest całkiem normalne, całkiem zdrowe.

Niezwykła burza strąciła nasz samolot w dół. Pilot próbował wylądować, lecz źle ocenił wyjątkową siłę wiatru i miejsce, gdzie się znajduje.

Katastrofa była gwałtowna. Kadłub samolotu wygiął się i pękł, a ja zostałem odrzucony daleko. Nieświadomy niczego poza tym, że muszę oddalić się od miejsca tego nieszczęścia, poszedłem dalej w zamieć śnieżną i upadłem. To wyjaśnia, dlaczego z chwilą, gdy odzyskałem pełną świadomość i podniosłem się ze śniegu, który mnie wciąż za

sypywał, nie zobaczyłem ani samolotu, ani towarzyszy podróży. Wszystko wokół mnie, na co patrzyłem od tej pory, było przepastnym, gęstym wirowaniem śniegu. Zacząłem iść.

Oczywiście wszystko, co zdarzyło się przed moim pierwszym przebudzeniem, mogło być całkiem odmienne, gdyż nic sobie z tego nie przypominam. Jakiś przypadek, który zrzucił mnie tutaj na śnieg, najwidoczniej uszkodził moją pamięć. To jedyna rzecz, co do której nie ma najmniejszej wątpliwości. Stanowi to, można powiedzieć, jeden z pewników. Katastrofa samolotu jest więc jedynie hipotezą roboczą. Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym przetrwać tu jeszcze przez dłuższy czas. Wydaje się, że mam niezwykle zasoby energii. Istotną sprawą jest zachować bystrość umysłu, umocnić jego sensowne nadzieje, uspokoić go tym i dodać mu odwagi. Trzeba hipnotyzować go lekko jakby nieustanną modlitwą, ponieważ póki mój umysł jest niezachwiany, moja energia jest niezniszczalna. A najważniejszą rzeczą jest tutaj — energia. I pomimo całej mej przezorności i bystrości bez energii byłbym od razu zgubiony. Nie ma sensu

o tym myśleć. Gdzie kończy się moja energia, tam kończę się ja, a wraz ze mną osiąga kres wszelka przezorność i bystrość. Dopóki posiadam energię, mogę naprawić swe błędy, przetrzymać je i wyzwolić się — na przykład z tego niewyobrażalnego błędu, który, o ile mi wiadomo, popełniam właśnie w tej chwili. Ten krok

1 pięćset lub pięć tysięcy następnych — wszystkie będą błędne i całkiem niepotrzebne, wszystkie wiodą z powrotem do miejsca, gdzie znajdowałem się przed dziesięcioma godzinami. Lecz bierzemy pod uwagę i takie przypuszczenie. Mój umysł nie jest moim przyjacielem. Jest moim oparciem, moim obrońcą, lecz również moim

wrogiem — niezbyt zainteresowany tym, by mnie stąd wydostać. Być może, gdybym był bezmyślny, nie miałbym żadnych trudności. Szedłbym po prostu naprzód przed siebie, nieświadomy niczego, jedynie tego, że z każdym krokiem posuwam się po ziemi. Czego potrzeba, to zachować czujność, utrzymać mój umysł w ciągłej czujności, tak, muszę rozpoznawać te zdradzieckie, paraliżujące, tak zabójcze myśli w momencie, gdy się zjawiają, by uchwycić je, nim wwiercając się, przenikną do stosu pacierzowego.

Wtedy delikatnie i nic się nie zdradzając muszę zepchnąć je z powrotem — w śnieg, do którego należą. Są infiltracją śniegu i inwazją tego martwego bezmiaru. Ale one nadchodzą tak chytrze! Jesteśmy prawdziwe, mówią, lub co najmniej przypuszczalnie prawdziwe, dlatego musisz nas przyjąć, a nawet powierzyć nam bieg swojego życia, skoro ponad wszystko zależy ci na prawdzie. Takie są te myśli i w ten sposób się zjawiają. Cóż ja wiem o prawdzie? Jakby prostoduszne trzymanie się prawdy było ostatecznym nakazem istnienia! Zaczynam tylko coraz jaśniej uświadamiać sobie to, co jest dla mnie dobre. To mój umysł żywi ten pogardliwy lęk wobec przypuszczalnej prawdy, a mój umysł, wiem to i dowodzę tego nieustannie, nie jest mną i nie zobowiązywał się mi pomagać. Czy mam kłamać? Muszę przeżyć — to prawda tak niepodważalna jak każda inna —• a skoro głodne prawdy pożerają śpiące prawdy, przetrawię każdą inną przypuszczalną prawdę na własne ciało, zdrowie i energię, a te, których nie mogę przetrwać, wypluję, ponieważ w tej sytuacji moja wola przetrwania ma jedno usta i jeden przewód pokarmowy, dzięki któremu żyję. A te inne prawdy! Odpreżam się na chwilę, daję wytchnąć memu umysłowi na chwilę — i zaraz myśli opanowują go całkowicie.





Przenikają we mnie radośnie, bez litości. Nie ma wątpliwości co do ich intencji lub siły. Pięć sekund nieuwagi i znów zaatakowały. Uchodzi ze mnie siła, wnętrzości rozpływają się, świadomość przyćmiewa się i kurczy; muszę się zatrzymać.

A jakie są fakty? Znam jednak pewne określone fakty.

Ponieważ robię sześć kroków co pięć sekund, obliczyłem — biorąc pod uwagę moje krótkie, regularne drzemki —■ że wędruję w tej zamieci od pięciu miesięcy, i przez ten czas przemierzyłem obszar prawie równy szerokości Atlantyku między Southampton a Nowym Jorkiem. Oto dwa fakty. Fakt trzeci: w ciągu tych pięciu miesięcy półmrok śniegu ani nie pogłębił się, ani nie rozjaśnił.

Tak jest.

Nie ma powodu wątpić, że znajduję się gdzieś w obrębie koła podbiegunowego Arktyki lub Antarktyki. Stanowi to pewną pociechę, gdyż oznacza, iż moje szanse przetrwania nie są tak bardzo małe. Ludzie przemierzali Azję wszczęd jedynie dla własnej przyjemności.

Oczywiście nie wędruję po linii prostej. To jednak nie powinno napawać mnie obawą. Być może popełniłem błąd już w pierwszej chwili, gdy po raz pierwszy zacząłem iść nastawiając twarz pod wiatr zamiast odwrócić się plecami do wiatru. Idąc pod wiatr tracę drogocenną energię, ponadto dokuczliwy śnieg wciąż zatyka mi oczy i usta. Musiałem jednak zaufać wiatrowi. To poddanie się przewodnictwu wiatru jest podstawą nieugiętości mego umysłu. Wiatr nie jest tylko moją busolą. Faktycznie nie powinienem w ogóle o nim myśleć jako o busoli. Wiatr jest mym prawodawcą. Jako busola byłby kompletnie bezużyteczny. Nie warto się nad tym dłużej zastanawiać. Jest bardzo prawdopodob

ne i nie powinienem tego tać przed sobą, że wiatr wodzi mnie tu i tam, jakby w bardzo małym i ciasnym labiryncie — zawsze nazbyt skrycie umykając, tak abym nie mógł dostrzec zmiany. I jeśli słońce okrąży horyzont, wiatr przypuszczalnie przesuwa się wraz z nim o trzysta sześćdziesiąt stopni raz na dwadzieścia cztery godziny, obracając mną, z twarzą nastawioną pod wiatr, po idealnym kole o średnicy nie większej od siedmiu mil. To tłumaczyłoby niezrozumiały skądinąd fakt, że mimo wielkiej odległości, jaką przemierzyłem, teren jest wciąż niezmiennie równy, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wyruszyłem. Zamarznięte jezioro z pewnością. To bardzo prawdopodobne i muszę oswoić się z tą myślą, aby nie obezwładniła mnie i by nie stracić z oczu naprawdę korzystnych stron mego położenia.

Muszę zwalczyć pokusę zdania się na los szczęścia lub na instynkt pójścia pod wiatr. Wywarłoby to fatalny wpływ na mój system zaufania. Mój własny rozum wodziłby mnie oczywiście po kole. Zmieniałbym więc umyślnie kierunek, by wyrwać się z tego kręgu — po to tylko, aby chodzić po większym kole lub po tym samym kole, lecz w przeciwnym kierunku. W ten sposób wprowadziłbym więcej zmian. Gwałtowniejsze i bardziej raptowne zmiany — zmiany w obrębie moich zmian — a wszystko to w celu uniknięcia wroga, który prawie nie dał znaku życia, jakby wcale nie istniał. Jasne, czym by to wszystko się skończyło. Na krzykach, bieganinie itd. Na zataczaniu się jak człowiek osaczony przez motłoch. Na upadku, czołganiu się. Itd. Śnieg.

Nie. Mam tylko przetrwać, to znaczy: nastawić twarz pod wiatr. Nastawić twarz pod wiatr, stanowczo uspokoić umysł, a wszystko inne potoczy się swoją koleją. Nie ma najmniejszego powodu do obaw. Teraz

w każdej chwili może zapaść polarna noc przynosząc — nieodwołalnie — nagłą zmianę klimatu. Niebo rozjaśni się odsłaniając nieomylną busołą gwiazd.

Okoliczności wyraźnie mi sprzyjają. Mógłbym niemal uwierzyć w Opatrzność. Mimo wszystko, gdyby tylko jedna okoliczność była trochę — choć trochę — inna niż jest! Gdybym, na przykład, zamiast obudzić się wśród zamieci na twardym, równym gruncie, odzyskał świadomość podczas nieskończenie długiego spadania przez chmurę śniegową. Wtedy mógłbym się zastanawiać bardzo poważnie, czy naprawdę jestem w czełści, czy nie. Albo gdyby atmosfera przypadkiem składała się, powiedzmy, tylko z amoniaku, nie mógłbym żyć. I na chwilę przed śmiercią na skutek uduszenia doszedłbym z pewnością do przekonania, że znajduję się na jakiejś wymarłej planecie. Albo gdybym nie posiadał ciała, lecz jedynie ramiona i nogi wyrastające z głowy, cały system mego poczucia bezpieczeństwa byłby z miejsca zdezorientowany. Moje sny, na przykład, nie miałyby dla mnie znaczenia lub poniekąd dowodziłyby bezsensu mego istnienia. Mógłbym niemal natychmiast umrzeć z samego oszołomienia. Nie potrzeba byłoby aż tak ogromnej różnicy. Gdybym nie posiadał tych wspaniałych butów ze świńskiej skóry, spodni, marynarki, rękawic i kaptura, chłód od razu by mnie unicestwił.

A nawet gdybym miał dwa razy tyle odzieży co teraz, cóż począłbym bez swego krzesła? Moje krzesło jest tak samo ważne jak jedno z mych płuc. Nawet jak oba płuca, gdyż bez krzesła umarłbym. Gdzież bym spał? Chyba na śniegu. Lecz jeśli leżałbym na wznak, to w jednej chwili śnieg przysypałby mnie, a zimno zaczęłoby obejmować moje ręce, stopy i twarz. Sen byłby niemożliwy. Innymi słowy bardzo szybko padłbym

z wyczerpania i został przysypany. Tak więc odpinam pas zabezpieczający moje krzesło, ustawiam krzesło na śniegu, siadam na nim, opieram stopy na poprzeczce między przednimi nogami krzesła, złożone ręce kładę na kolanach, a głowę wspieram na rękach i w ten sposób mogę przespać się przez pełne dziesięć minut, zanim śnieg spiętrzy się nade mną.

Ciąg opatrnościowych zbiegów okoliczności jest nieskończony. Lub raczej zwarty jak kolczuga bez brakujących ogniw, które nadwierałyby i niszczyły całą resztę. Nawet moje sny stanowią tego część. Są ogniwem równie mocnym i istotnym, gdyż nie można już wątpić, że dokładnie odtwarzają całe moje poprzednie życie, świat istniejący teraz i świat, jaki znałem — to wszystko bez najmniejszej sprzeczności w szczegółach. Gdyby moja amnezja była choć trochę większa! — to by wystarczyło, gdyż bez dowodu na istnienie świata i mojej tożsamości nie widziałbym celu w kontynuowaniu tej udreki. Rozglądnałbym się tylko, westchnął i umarł jak pisklę wypadłe z gniazda.

Wszystko pasuje do siebie. Wynikiem tego — moje postanowienie, by przetrwać. Powinienem się cieszyć.

Krzesło jest zwyczajne i nie ma w sobie nic tajemniczego. Jest to typ krzesła często spotykany w wiejskich domach i świetnie pasuje do mych snów, tak jak moje ubranie, moje ciało i skłonności mego umysłu. Jest drewniane, pomalowane na czarno, choć miejscami ukazuje warstwę brązu pod czernią. Brak jednego z dziewięciu prętów w oparciu, a jakieś dziecko — przypuszczam, że to było dziecko — wepchnęło odrobinę gumy do żucia w pusty otwór. Widać, że krzesło było często używane i niezbyt, uważnie z nim się obchodzono. Prawa przednia noga jest mocno ogryziona, widocznie przez szczenie, a czerń i brąz wytarte na siedzeniu uka

żują ciemne słoje wyblakłego drewna. Jeśli to nie dowodzi niezbiecie istnienia jakiejś innej poza moją rzeczywistości, rzeczywistości świata, z którego ono pochodzi, świata o którym wciąż śnię w mych snach — to mogę równie dobrze położyć się na śniegu i umrzeć.

Dziwny pas nie powinien mnie niepokoić. Świat, który dotychczas wyśniłem, nie posiada takiego pasa, to prawda. Skoro jednak nie śniłem o niczym od czasu mych dwudziestych szóstych urodzin, ten pas mógł być wynaleziony między tym okresem a momentem mej katastrofy.

Prawdopodobnie jest teraz powszechnie używany. Być może jest to przyrząd, którym posługują się w jakiejś modnej grze — modnej w okresie, gdy miałem dwadzieścia siedem lat lub później — do której się zapaliłem. Zasiadałem w dziewiętnastowiecznym krześle na ośnieżonych szczytach. Być może zrodziła się we mnie namiętność do malowania polarnych krajobrazów i równocześnie przywiązanie do tego osobliwego krzesła jako do malarskiego zydła, dla którego zaprojektowałem specjalnie zabezpieczający pas. Szczęśliwa eks-centryczność! Doskonale przystosowana do mych obecnych potrzeb. Lecz to wszystko nadal okrywa tajemnica. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, o których nie śniłem. Z mego dwudziestego trzeciego i czwartego roku życia nic się prawie nie zachowało w mej pamięci prócz kilku błahych epizodów. Nic też nie pamiętam z okresu po moich dwudziestych szóstych urodzinach. Reszta jest jednak prawie kompletna, co nasuwa przypuszczenie, że w każdej chwili powinienem teraz w pełni odtworzyć mój dwudziesty trzeci i dwudziesty czwarty rok życia, a co ważniejsze tyle, ile ocalało z mego dwudziestego siódmego roku życia, wraz z dokładną relacją o mojej katastrofie i pochodzeniu mego krzesła.

Nie mam zasadniczych wątpliwości co do mego wie

ku. Gdybym śnił swe życie chronologicznie, byłby wtedy prawdziwy powód do niepokoju. Nie miałbym pojęcia, ile jeszcze może się zdarzyć. Oczywiście, jeślibym nagle wyśnił coś z połowy swego sześćdziesiątego roku życia, musiałbym ponownie uporządkować wszystkie myśli. Co naprawdę przekonuje mnie o mej młodości, to energia, gdyż sam wygląd ciała nic mi nie mówi. Zaiste, sądząc po mych rękach i nogach — które jedynie odważyłem się odkryć — można by mniemać, iż mam kilkaset lat lub że umarłem, gdyż są tak czarne i pomarszczone na kościach. Lecz to wychudzenie jest zrozumiałe, zważywszy, że od pięciu miesięcy utrzymywałem się przy życiu jedynie siłą woli, nie odczuwając najmniejszej ochoty do jedzenia.

Powinienem wrócić do swego zajęcia, gdyż inaczej moja matka i ojciec wpadną w rozpacz. I Bóg wie, co zdarzyło się z Heleną. Czy ożeniłem się z nią? Nie mam obrączki. Lecz byliśmy zaręczeni. I to także potwierdza moją młodość, że moje uczucia do niej są takie same jak wtedy — faktycznie silniejsze — tak, o wiele silniejsze, chociaż patrząc na to obiektywnie, uczucia do niej mogą nie być niczym innym jak desperackim pragnieniem powrotu do świata w ogóle — pragnieniem posługującym się moim dawnym uczuciem do Heleny jako rodzajem formy lub modelu. Prawdopodobne, nawet bardzo prawdopodobne, że w rzeczywistości zapomniałem o niej; że mam sześćdziesiąt lat, a ona nie żyje od trzydziestu czterech lat. Pewne rzeczy mogą być całkiem różne od moich wyobrażeń. Jeślibym poddał się takiemu biegowi myśli aż do logicznego końca, to nie mam żadnego ostatecznego dowodu na to, że moje zajęcie, moi rodzice, Helena oraz cały świat nie są li tylko moim wymysłem, fantazjami, które zaimprovizowała moja wyobraźnia na podstawie najprostszych elemen

tów mej postaci, moich ubrań, mego krzesła i właściwości mego obecnego otoczenia. Jestem w sytuacji, w której nie można niczego być pewnym.

Na szczęście jednak egzystencja jest czymś więcej niż rozważaniem możliwości. Istnieje przekonanie, wiara. Gdyby ich nie było, co by się ze mną stało? W momencie, gdy pozwalam jednej z tych „możliwości” na najmniejszą poufałość — ogarnia mnie potężne, niemal fizyczne uczucie daremności, które chwyta mnie za serce, jakby ten organ sam zważył o tym życiu i miał zamiar go poniechać.

Odwagi i spokoju! To powinno być mą modlitwą. Powinienem to powtarzać jak buddyści swą modlitwę: „O klejnocie, kwiecie lotosu”. Powtarzać tak długo, aż odezwie się w głębi mego serca, aż każde uderzenie serca rozprowadzi to po całym mym ciele. Odwagi i spokoju! To stanowi cały twój świat i nie myśl o tym więcej.

Moje krzesło zachowa mnie przy zdrowych zmysłach. Moje krzesło, moje krzesło, moje krzesło — mógłbym tak powtarzać niemal bez końca. Znam każdą jego plamę i sój drzewa. Tak bliskie i prawdziwe! Ono samo głosi o wszechświecie, ó całym wszechświecie, swą solidną robotą stolarską, lekką i kształtną konstrukcją — delikatną i mocną. I tak długo jak kontynuuję swą grę, nie powinienem obawiać się niczego, chociaż jest ona niebezpieczna. Kusicielska i ryzykowna, lecz — wystarcza mi sama świadomość, iż daje dużo przyjemności. Stawiam krzesło na śniegu udając, że zapadam w sen — lecz zamiast usiąść odchodzę kilka kroków w dal po śniegu. Jak wpadłem na ten pomysł? Za pierwszym razem nie odważyłem się spuścić go z oka. Nigdy dotąd nie wypuściłem go z rąk ani na chwilę między zapięciem pasa a siedzeniem na nim. Teraz jednak nagle wypuściłem krzesło z rąk i odszedłem w dal



po śniegu. Nigdy dotąd nie słyszałem swego głosu. Zdziwiłem się słysząc dźwięki, które się ze mnie wyrwały. Potrzebuję rekompensaty. A ta zabawa podsyca moją energię, tak więc ma w pewnym sensie praktyczne znaczenie. Po zabawie zwykle biegałem. To jednak niebezpieczny moment, moment przemożnej niecierpliwości, kiedy mogę łatwo stracić panowanie nad sobą i wyrwać się, pójść za głosem instynktu, zdać się na los szczęścia, wybiec pod wiatr.

Istnieje jednak poważniejsze niebezpieczeństwo. Gdybym wybiegł pod wiatr, szybko otrzeźwiałbym i odwróciłbym twarz od wiatru. Teraz sama zabawa lub raczej obecny jej etap stwarza niebezpieczeństwo. Już nie zadowolam się odejściem kilku kroków wstecz. Ustawiam krzesło, odwracam twarz i odchodzę w zamięć śnieżną, licząc starannie kroki. Po czternastu krokach zatrzymuję się. Piętnaście stanowi kres widzialności w tym gęsto sypiącym śniegu, tak więc po czternastu staję i odwracam się. Takie niech będą reguły tej gry. Muszę utrzymać się w tych granicach. Z początku nic nie widzę. To powinno mi wystarczyć.

Wszędzie rozlewająca się milcząca szarość, milczenie jak ucisk, jak powolne nakładanie się niewymiernego ciężaru, tak stopniowe, że prawie niedostrzegalne. Gdybym miał tylko tam stać, mój umysł rozpadłby się w ciągu kilku chwil. Lecz ja koncentruję się, powściągam więc lęk przed pustką i bacznie się w nią wpatruję. Z początku wszystko wygląda jak zwykle — tak, jak widywałem w ciągu pięciu miesięcy. Wtem moje serce zaczyna bić nienaturalnie, gdyż wydaje mi się, że odróżniam jakiś ciemny kształt, jakiś cień, który chwieje się w głębi szarej zamieci, znika i mrocznieje, podnosi się i opada. Posuwam się o krok naprzód i przywołując całą siłę woli, znów się zatrzymuję. Wydaje się, że cień jest taki

## **I – Deszczowy koń**

sam jak poprzednio. Jeszcze jeden krok. Cień wydaje się nieco ciemniejszy. Wtem znika, a ja rzucam się dwa kroki w przód, lecz natychmiast znów staję, ponieważ cień tkwi tam całkiem wyraźny i już się nie porusza. Powoli zbliżam się do niego. Stosownie do zasad gry panuję nad sobą, powstrzymuję szloch i wszelkie okrzyki, chociaż oczywiście nie mogę miarowo oddychać — nie na tym etapie przynajmniej i w chwili, gdy cień okazuje się krzesłem. W tym bezmiernym szarym i rozrzedzonym powietrzu — moje krzesło! Płatki śnieżne lecą do nóg krzesła, prześlizgują się między nimi i uderzają o jego pręty, oblepiając je i pełzając po siedzeniu. Panować nad sobą nie jest już w ludzkiej mocy. Wydaje mi się, że na tym etapie w mniejszym lub większym stopniu utraciłem już świadomość. Nie jestem z pewnością odpowiedzialny za tę płaczącą, krzyczącą istotę, która opada na moje krzesło, obejmuje je, całuje, kalecząc o nie policzki. Kiedy płatki śnieżne tak uderzają i oblepiają moje rękawice i krzesło, zaczynam nadawać im imiona. Wpatruję się w każdy z nich z osobna, jakby był żywą ludzką twarzą, rozpoznając mnie w milczeniu, i wołam: Willy, Joanno, Piotrze, Jezusie, Ferdynandzie; nadaję imiona, jakie tylko przychodzą mi na myśl. Wołam do nich, kiwam głową i śmieję się. Jest to dość nieszkodliwe szaleństwo.

Pokusa — aby pójść dalej niż czternaście kroków staje się aż bolesna. Aby wejść głębiej w zamieć śnieżną. Czterdzieści kroków, potem zawrócić i oglądnąć się. Piętnaście kroków, dwadzieścia. Stop. Cień. To nie byłoby nieszkodliwym szaleństwem. Gdybym tak porzucił swoje krzesło, istnieje prawdopodobieństwo, że nigdy bym go już nie odnalazł. Nie ma moich śladów w cofającej się fali śniegu. Po tygodniach szukałbym jeszcze krzesła krążąc po ogromnym kole

i wciąż usiłując wypatrzeć cień wśród szarej monotonii. Krzesło tymczasem byłoby oddalone o sto mil w zamieci śnieżnej — nieruchome, o zgrabnych nogach i eleganckim oparciu, czasem zasypane, czasem znów odsłonięte. I przez wieki, na długo po mej śmierci, krzesło tkwiłoby tam nieruchomo ze śladami zębów i brakującym prętem na oparciu, oczekując, aż z nicości wyłoni się ciemny kształt, coś wykrzyknie, opadnie nań i zawładnie nim.

Lecz moje krzesło jest za moimi plecami, tutaj. Nigdy nie grozi mi jego utrata. Nigdy, póki zachowam opanowanie i bystrość umysłu. Wszystkie fakty przemawiają na mą korzyść. Nie pozostaje mi nic innego tylko przetrwać.

Żniwa

**„A ja przeistoczę się w zająca  
Z westchnieniem, smutkiem i żalem  
bez końca”.**

Pan Grooby spoglądał w dół. Poniżej, z prawego rogu wąskiego trójkątnego zagonu pszenicy zawracały traktor i żniwiarka, warkocząc, jazgocząc, zatrzymując się, to znów ruszając z miejsca. Pot ściekał z kącików oczu Grooby'ego. Nie przynosił mu nawet ulgi lekki powiew wietrzyka. Tępa strefa bólu umiejscowiła się tuż nad jego oczami i pan Grooby miał wrażenie, że cały firmament nieba zaczął płonąć oślepiającym blaskiem.

Od trzech godzin, to znaczy od godziny dziewiątej rano, nawet najbliższy pajęczy obłoczek nie przemknął między słońcem a cienkim filcem jego kapelusza. Ktoś opalający się na słońcu już przed godziną poszukałby schronienia.

Za dziesięć minut pole zostanie zżęte. Wiedział, że najlepsza zabawa bywa w ostatnich dziesięciu minutach. Byłby głupcem, gdyby teraz odszedł i wyrzekł się tego, na co przez cały ranek czekał i w pełni sobie zasłużył.

Opierając strzelbę o leżący snop, pan Grooby zrzucił kamizelkę i złożył ją obok strzelby, a następnie zdjął kapelusz i wytarł chusteczką łysy czubek głowy. Zaczął przechadzać się tam i z powrotem, aby powietrze ochłodziło mu czoło.

Z pewnością ten upał był nienaturalny. Nie mógł przypomnieć sobie podobnego mu żaru. Unoszący się kurz, wzniecany przez traktor i szybko obracające się noże żniwiarki, pochłaniały pulsowanie światła słonecznego, iż zdawało się, że powietrze jest tak gorące, jak może być tylko ciało stałe. A częste wybuchy warkotu traktora pnącego się po pochyłości, podobne do huków karabinu maszynowego, dziurawiły osłonę powietrza jeszcze gwałtowniej i bardziej morderczo. Na skraju pola widać było ciemne, jakby przypalone postacie pracujących tutaj dorywczo lub mających wolny dzień górników, którzy ustawiali snopy zboża w stogi; wokół biegały teraz czarne lub podpalane charty — wśród nich jeden duży, biały, kościsty pies — wszystkie wyglądające na piekielne bestie, przemykające się w nie całkiem widzialnych płomieniach.

Był to pierwszy dzień, jaki Grooby spędzał na polu od zeszłego lata. Miał zamiar zostać na polu tylko kilka godzin, sądząc, że zostanie ono zżęte do jedenastej. Dziś dwie godziny, jutro cztery lub pięć i tak dalej — chciał się stopniowo zaaklimatyzować, żeby móc wytrwać przez cały dzień i nacieszyć się żniwami. Być może trzy godziny to było trochę za dużo na początek; może tym razem przesadził.

A więc pozostanie jeszcze dziesięć minut i odejdzie. Jeszcze dziesięć minut i, niezależnie od tego, ile pola zostanie do zżęcia, odejdzie. Nie chciał psuć sobie urlopu od samego początku.

Stwierdził, że jeśli będzie stać całkiem nieruchomo i wystawi ciało na promienie słoneczne kurcząc się do wewnątrz, to zdoła przeciwstawić się zarówno wolno upływającemu czasowi, jak i potężnemu, wszechobej-mującemu uciskowi upału. Skulił się w mikroskopijnej ciemności, gdzieś u nasady kręgosłupa, i marzył o swym

samochodzie, ukrytym w kamiennej remizie pół mili stąd, po przeciwnej stronie pól. Czuł zapach chłodnej skóry obić oraz świeżych kanapek przełożonych pie-czeniem wołową i posmarowanych grubo musztardą, które leżały wraz z dwiema butelkami piwa pod pledem, na tylnym siedzeniu.

Nadjechał traktor, by zrobić pętlę zawracając ku górnemu skrawkowi pola. Gdy Grooby cofnął się, siwa, podobna do szympansa postać przy kierownicy krzyknęła coś do niego, wskazując palcem w dół, na pszenicę, zaś rosły i ciemno ogorzały człowiek, usadowiony wysoko na żniwiarce, też coś zawołał, wskazując w tym samym kierunku na pszenicę. Wtedy wibrujący warkot maszyny dokonującej obrotu, oszołomił go nagle, wybuchając nad Groobym jak łoskot otwieranych drzwi. Potem ostrze znów zawirowało, kłosa pszenicy posypały się spod czerwonych grabi żniwiarki — co kilka kroków nowy snop zboża wyskakiwał na ściernisko — tyle pracy, tyle rozgrzanego, poruszającego się żelastwa w chmurze czerwonego pyłu! Maszyna oddalała się, pozostawiając Grooby'ego w samotności i zadziwiająco nienaruszonego, jakby też został wyrzucony ze żniwiarki niczym jeden ze snopów.

Podkscytowany, przystąpił bliżej i znów patrzył na dwie rozstępujące się ściany zboża. Krzyki farmera i jego pomocnika dowodziły, że musieli coś dojrzeć na zagonie. Cokolwiek tam było, rzucało się z boku na bok w miarę zbliżania się żniwiarki jak schwytna ryba w coraz płytszej wodzie. Grooby trzymał strzelbę w pogotowiu na zgiętym lewym przedramieniu jak dziecko, głaszcząc jej rytowane boczne okucia i bezpiecznik. W myślach powtarzał nieskończoną ilość razy płynny ruch — wzięcie na cel pędzącego kształtu i delikatne naciśnięcie spustu oraz dalszy ciąg —  
jeden

zręczny, nie wymagający wysiłku gest jak podczas rozmowy.

Pięćdziesiąt jardów za nim, pod snopem zboża, leżały dwa martwe króliki. Spudłował trzykrotnie. Nie był dobrym strzelcem. Lubił jednak skorzystać z okazji — a raczej czekał na nią, przypominając sobie dni minionego lata, kiedy to króliki pierzchały na wszystkie strony, pozwalając się przejechać przez maszynę lub dając się zatłuc kijami przez górników albo też zapędzić w tuman kurzu przez psy; on zaś tylko strzelał na lewo i prawo jak bohater na ostatniej placówce. To była wspaniała zabawa.

Ale poprzedniego lata nie było takiego upału. Zastanawiał się, czy farmer też uważa ten upał za niezwykły. Być może była to rekordowa fala upału, następująca po kapryśnym rozproszeniu .nocą jakiejś warstwy ochronnej w górnej atmosferze. Niedzielne gazety pełne będą tego rodzaju wiadomości oraz ilustrowanych wykresów i historycznych porównań. Albo raczej on się po prostu zestarzał i zaczyna zawodzić w trudnych sytuacjach. Wyobraził sobie, że muszą być jakieś drobne sprawdziany, które ukazują ten proces wyraźnie; jakiś deszczowy dzień, pierwszy śnieg lub, jak teraz, parę godzin spędzonych na słońcu. Czy próby te miały stać się dla niego czymś strasznym? Przybrał też na wadze kilka funtów od ubiegłego lata.

Nałożenie filcowego kapelusza było błędem. Umysł jego był przyćmiony, otepiały i ciężki jak rozgrzany kamień. Jutro weźmie panamę z szerokim rondem. Robotnicy ustawiający snopy będą na pewno z niego szydzić, lecz sami przecież zawiązywali na głowach chustki do nosa jak mali chłopcy.

Obserwował, jak traktor znów zakręca na dolnym skrawku pola. I właśnie gdy traktor piął się ku niemu

po pochyłości, dziwne uczucie ogarnęło Grooby<sup>s</sup>ego. Czy to na myśl o całej energii potrzebnej do wyciągnięcia tego ciężaru wibrującego żelastwa na wzgórze w tym upale czy też uświadamiając sobie, iż wreszcie zbliża się pomoc — więc może poddać się słońcu — Grooby nagle stracił kontrolę nad swym ciałem i poczuł, jak leci w powietrzu o pół metra nad zgniecionym ścierniskiem.

Usiadł pośpiesznie przyjmując jak najbardziej naturalną pozycję, mimo to przerażony i głęboko przekonany, iż zrobił to za późno. Zamknawszy oczy usłyszał w ciemności głos, który oznajmiał mu raz po raz ostrym rzeczowym tonem, że powinien natychmiast odejść z pola. Słońce skurczyło się do czerwonej plamki na wierzchołku mózgu. Z przerażeniem pomyślał o odległości dzielącej go od farmy i bezpiecznego schronienia. Krótka ścieżka zdawała się więc i skręcać jak rozżarzone włókno nad ognistą otchłanią.

Otwierając oczy ujrzał przednią tabliczkę fordowskiego traktora, który właśnie wspinał się ku niemu, przyciągając jego wzrok. Grooby jak pijany skupił na nim całą uwagę, jakby to był ostatni błysk świadomości. Powoli rozjaśniło mu się w głowie. Zmienił pozycję.

Teraz kiedy świat ponownie ułożył się w całość, Grooby uświadomił sobie, że farmer stojąc na traktorze coś woła do niego i kiwa wolną ręką. Grooby rozglądął się dokoła szukając jakiegoś wyjaśnienia. Robotnicy układający snopy przerwali pracę i patrzyli na niego, wyrywając się niemal ku niemu jak psy trzymane na smyczy; psy zaś biegały w kółko wyciągając szyje, drżąc z niepokoju i kuląc pod siebie ogon ze wstydu, gdyż nic nie widziały tam, gdzie spodziewały się coś dostrzec, i niecierpliwe, by coś zobaczyć



i pobiec dalej. Grooby ogarnął to wszystko z daleka wzrokiem jak przez siatkę przyłbicy. Niejasno zdawał sobie sprawę, że wszyscy ostrzegają go przed czymś strasznym. Po chwili wyteżył wzrok.

O jard od ściany pszenicy, dziesięć jardów przed Groobym, wprost na drodze traktora, siedział wyprostowany olbrzymi zając.

Zając utkwiał wzrok w jednym punkcie, jakby tam daleko dostrzegł jakiś podejrzaną szczegół. W rzeczywistości po prostu ogłupiał na widok otaczających go nieprzyjaciół. Przepędzano go od samego rana z jednego krańca kurczącego się pola pszenicy na drugi; napięte nerwy zająca, wyczerpane wciąż powtarzającym się hukami oraz rozmijaniem się o włos z nacierającym traktorem w czasie jego obrotów, w końcu nie wytrzymały — i oto siedział na otwartej przestrzeni, próbując rozpoznać dziwnie ogołoczone wzgórze — otoczony przez ludzi i psy — traktor zaś znów zbliżał się z lewej strony, a na tle horyzontu, na prawo, dźwigał się jakiś człowiek.

Zając przysiadł więc całkowicie oszołomiony.

Grooby bezlitośnie wziął go na cel. Spostrzegł jednak, że krzyki farmera przybrały na sile i zmieniły ton, a robotnik na żniwiarce przyłączył się do tych nawoływań, gwałtownie machając rękami i wskazując coś z lewej strony, jakby wylot luf strzelby Grooby'ego wymierzony był w jego własną pierś. Grooby zrozumiał, że traktor znajduje się powyżej luf jego strzelby. Celował przez chwilę, nie chcąc stracić prawa pierwszeństwa do zająca, potem spojrzał na psy, podniecone i rozjuszone. Gdyby nie psy, zając z pewnością pomknąłby przed siebie, pięknie i prosto jak strzała. Teraz lada moment dokazujące psy mogły nadbiec przez pole, zawrócić zająca ku pszenicy i zapędzić na nie

zżęty jeszcze zagon żyta na dole lub też przegnać go wokół wzgórza na inne pole.

Aby wyprzedzić psy, Grooby zaczął biec w lewo, w dół po przeciwnej stronie pola pszenicy, mając zamiar wygnać zająca na otwartą przestrzeń. Lecz zanim zdołał zrobić trzy kroki, zając nastawiwszy słuchy rzucił się do ucieczki, sadząc niepewnymi susami i wciąż nie mogąc się zdecydować, który kierunek jest bezpieczny oraz jaką wybrać prędkość, aż pocem nadbiegły psy wygniatając długie, palące ścieżki w polu. I Grooby strzelił.

Zapomniał jednak o cofnięciu się i szarpnięciu, i o tym, co potem następuje. Był wściekły, wytracony z równowagi, a pędzące psy odciągały jego uwagę. Zawsze też nienawidził strzelania od lewej na prawo. Lecz jego cel majaczył mu wielki, bliski i poruszał się wolno. Strzelba uderzyła go w ramię. Zając wywinął kozła, jakby wyrzucony za tyjne nogi w powietrze, opadł w obłoku kurzu na ziemię i skoczył w pszenicę.

Przez chwilę Grooby myślał, że popadł w omdlenie. Słyszał, jak farmer wrzeszczy do górników, by odwołali psy grożąc, że wystrzela całą tę przeklętą sforę, lecz głos jego docierał do Grooby'ego niesamowicie głośny i zdeformowany, jak gdyby jego słuch utracił tłumiące właściwości obronne. Kręciło mu się w głowie w ciemności. Wiedział, że upadł. Słyszał, jak traktor opornie wspina się na pochyłość, a odgłos ten wydawał się bardzo bliski; silnik tak okrutnie wtargnął w jego uszy, że zastanawiał się, czy on sam nie upadł tuż przed nim. Ziemia drżała pod jego ciałem. Z pewnością dostrzegą, że on tu leży. Odzyskał częściowo świadomość i jak w chwili przebudzenia z koszmarnego snu na poduszce i w znajomym dobrze pokoju, Grooby uzmysłowił sobie, że leży twarzą w pszenicy.



Musiał zasłabnąć, wszedł chwiejąc się w pszenicę i tam upadł. Lecz dlaczego dotąd go nie zauważyli? Wykręcając szyję zobaczył coś, w co nie mógł zrazu uwierzyć — czerwone grabie żniwiarki zbliżały się ku niemu. Za parę chwil te straszne, ukryte, golące ziemię ostrza zetną żdźbła, dotkną go — i przetną całkowicie na pół. Na oczach Grooby'ego żniwiarki przecinały króliki jak bekon.

Wydał okrzyk, aby ktoś go usłyszał. Stoczył się na bok i podciągnął na łokciach; rwąc rękami pszenicę, przedzierał się, umykając z drogi przed niszczycielem. Znow krzyknął, tym razem ze zdumienia, gdy silny spazm bólu zdawał się wykręcać dolną połowę jego ciała, tak iż przez chwilę pomyślał, że dosięgły go noże. Ostatnim konwulsyjnym ruchem rzucił się w przód i rozciągnął jak długi równoległe do trasy traktora.

To tak się zdarza — jego mózg wystukiwał. — Może się zdarzyć, może się zdarzyć, już się zdarzyło. To tak się zdarza. Wszystko układa się dobrze, wtem jeden nierozważny ruch, moment roztargnienia, a całe ciało dostaje się do maszyny do mięsa, jesteś w samym środku czegoś najgorszego, co mogło się kiedykolwiek zdarzyć. Nigdy ci się nawet nie śniło, że to możliwe i przez całe życie znajdowało się o ułamek sekundy od ciebie, o włos, a teraz stało się, już się stało.

Huk traktora i specyficzny łoskot mielenia żniwiarki zdawały się dobiegać z samej ziemi i obejmować wszystkie poszczególne atomy jego ciała. Kontur traktora rysował się czarno na tle błękitu nieba i Grooby zobaczył, że farmer stoi przy kierownicy i patrzy w dół. Grooby zawołał i pomachał ręką jak tonący, po czym farmer wskazał na niego też coś wykrzykując. Wtedy grabie żniwiarki obróciły się i Grooby usłyszał, jak jej noże wirują w powietrzu. Przez chwilę wszystko roz

padło się w hałasie, sieczce i pyłe, aż zniknęło, a Grooby wciąż leżał ciężko dysząc. Dlaczego się nie zatrzymali? Zobaczyli go i minęli. Koniec noża żniwiarki przetoczył się o kilka cali od jego twarzy i teraz Grooby znów mógł patrzeć przez cienką zasłonę łądyg na ogołocony, pokryty ścierniskiem stok. Dlaczego nie zatrzymali się i nie zsiadli, by mu pomóc? Opanował się i znów spróbował wstać, lecz spieczone grudki ziemi i lśniące metalicznie źdźbła pszenicy odbiegły jak daleki milczący obraz, gdy ból przeszył mu znów plecy i oładnął nim.

Lecz tylko na chwilę. Gwałtownie uniósł głowę. Czyjeś ręce podtrzymały go za ramiona i ktoś spryskiwał mu wodą twarz; woda spływała mu po szyi aż na pierś. Oswobodził się i wstał. Jak gdyby potknął się tylko przypadkiem, zaczął strzepywać kurz ze spodni i łokci, nie zwracając uwagi na mężczyzn, którzy oto- -czyli go kołem i bacznie mu się przyglądali. Przez cały czas usiłował przypomnieć sobie dokładnie, co się stało., Nawiedziło go jakby wspomnienie zapomnianego snu, że kiedyś leżał w pszenicy. Czy go stamtąd wyniesiono? Zgiął ostrożnie plecy, nie odczuwając przy tym najmniejszego wysiłku ani skrępowania. Farmer podał mu filcowy kapelusz.

— Czy już dobrze się pan czuje?

Skinął głową. — Strzelba zachwiała moją równowagę. To jedyne wytłumaczenie. Trzymałem ją nie dość mocno. Zwaliła mnie po prostu z nóg.

Przyjął właściwą sobie, bardzo szorstką postawę zwierzchnika, osadzając w miejscu farmera i gromadę górników o bezczelnych i anonimowych twarzach. Zastanawiał się, co też oni widzieli. Może powiedzieliby, lecz jak ich o to zapytać?

— To jeden z tych szczęśliwych trafów — dodał.

Farmer patrzył na niego w zamyśleniu, jakby oczekując, że Grooby znów upadnie na ziemię.

— Co się stało z zającem? — zapytał Grooby. Konsekwentnie utrzymywana przez niego poryw-  
cza pewność siebie wywarła pożądaną efekt. Bez względu na to, co widzieli lub podejrzewali, musieli się liczyć z jego głosem. Farmer skinął głową we właściwy sobie zwykły, znużony sposób.

— A więc pan czuje się dobrze? — Po czym zwracając się do robotników ustawiających snopy dorzucił ze zdumiewającą wściekłością:

— Za cóż, do diabła, wam płacę? Kiedy oddalili się gromadnie  
*m* dół polem ze swymi

posmutniałymi psami, farmer zapuścił silnik traktora i noże żniwiarki rozmachały się obracając.

Pozostawiony sobie, Grooby popadł w oszołomienie i szok. Umysł wirował mu jak mucha, która nie śmie usiąść. Zawładnęła nim mroczna pustka. Coś ważnego się działo, gdybyż tylko mógł to pojąć. Wydawało się, że nie jest zdolny się poruszyć, nawet po to, żeby zetrzeć pot skroplony między brwiami i spływający mu do oczu. Przyszło mu na myśl, iż słońce usadowiło się na ziemi, a powietrze jest rzeczywiście płonącym gazem, płomienistą otchłanią opasującą zewsząd. Obserwował, jak traktor znika w dolnym skrawku pola, jak gdyby roztopiając się w lśniącej kałuży, we mgle. Jak ludzie mogli pracować w takiej temperaturze? Robotnicy ustawiający snopy dosłownie przypalali się; byli czarni jak spalone gałązki, malutcy jak czarne mrówki, ci ludzie poruszający się na szarym polu.

Jeszcze jedna jazda traktora w górę i w dół zakończyłaby żniwa na tym polu, i nadzieja ta trochę ożywiła Grooby'ego, włączając go jeszcze raz w bieg wydarzeń. Kiedy traktor brnął po jednej stronie pola —

teraz długości zaledwie piętnastu jardów — Grooby schodził w dół z drugiej strony, badając cienką zasłonę badyli, gdzie każda kępka zielsk zdawała się mieć uszy i czatować w pogotowiu.

Grooby usadowił się na dole, parę kroków w głębi ścierniska, dla ostatecznej rozgrywki. Teraz zając musi albo się wyłonić, albo zostać zabitym przez żniwiarę, o ile jeszcze nie zginął od pierwszego strzału. Gdy traktor zjeżdżał w dół, górnicy porzucili pracę i zbliżali się do Grooby'ego, aż zrównali się z nim, jak gdyby chcąc przyglądać się scenie zabijania. Grooby posunął się nieznacznie naprzód, oddalając się od nich. Myśl, że pierwsze pojawienie się zająca przyciągnie kilka psów, które będą płaszać po drugiej stronie linii ognia, odebrała mu odwagę. Nie życzył sobie też, aby ci ludzie obserwowali jego twarz, która była śmiesznie różowa, tłusta i złana potem.

Oby tylko traktor przyśpieszył i przejechał zająca lub żeby on sam zdecydował się i wykonał wreszcie jakiś ruch. Wydawało się jednak, że traktor się zatrzymał, Grooby zamrugał i dziarsko wyprostował się, a to jakby wpłynęło na szybszą jazdę traktora. W najniżej położonym zakątku pola pszenicy nieliczne źdźbła, które miały paść ostatnie, pochyliły się, drażniąc go w ciągu tych nieskończenie długich chwil.

Wtedy nagle ukazał się zając tak duży, jakby nic poza nim nie istniało. Górnicy krzyczeli, a strzelba skoczyła do ramienia Grooby'ego. Lecz on nie strzelał. Zwierzę było zbyt blisko. Grooby dostrzegł szorstkość jego cętkowanych rudych boków i delikatny kształt wąskiego pyszczka. Poza tym wydawało się, że zając chce się poddać i jest tak wyraźnie oszołomiony, że przez chwilę Grooby miał raczej chęć przegonić go w bezpieczne miejsce, niż zabić. Zając jednak już uświa

domił sobie swoje szaleństwo i rzuciwszy się gwałtownie na prawo od Grooby'ego, pomknął do góry jak strzała, unosząc się o stopę nad ziemią; tymczasem farmer stał w traktorze nawołując, a ostatnie źdźbła padały ścięte, psy zaś za plecami Grooby'ego niemal unosiły się w powietrzu szczekając i wprost krztusząc się na napiętych obrożach.

Grooby wiedział, że zostało mu zaledwie parę sekund, zanim psy wyrwą się na swobodę i obskoczą go; śledząc więc połowicznie, to co się dzieje za nim, wypalił z odległości dziesięciu jardów. Zajac rozpląszczył się na ziemi w chmurze kurzu, lecz wnet poderwał się i z wysiłkiem powłókł się w górę po pochyłości; poruszał się teraz znacznie ciężiej, gdyż jego tylne skoki opadały co parę kroków. Widać było, że już koniec z nim, więc nie chcąc zaprzepaścić wszystkiego zatkanym wylotem lufy i spudłować, a także by wyprzedzić psy — niezależnie od okoliczności — Grooby zaczął biec ociężale. Nagle zajac, zebrawszy resztkę sił, oddalił się na znaczną odległość. Grooby przystanął i wycelował. Pot zalewał mu oczy i czuł, że powinien usiąść. Słyszał krzyki i ocierając oczy i czoło jednym gwałtownym ruchem o lewe ramię, znów przyłożył policzek do strzelby w momencie, gdy jeden z chartów przemknął obok niego jak zapalony lont. Grooby z wściekłością wycelował w skaczący kształt i wystrzelił. Poraziła go ciemność. Szaleńczą świadomość, że znów to zrobił, że przeklęta strzelba znów go uderzyła, pochłonął mrok.

Wydawało mu się, że runął do przodu, i pomyślał, iż musiał wywinąć kozła. Ogarnęło go jedno pragnienie, wciąż zmuszające do wspinania się na wzgórze. Żaden z członków jego ciała nie należał już do niego.

Zastanawiał się, czy wciąż jeszcze leży w pszenicy i czy ostrza



żniwiarki rzeczywiście przeszły po nim. Lecz najgłośniejsze było szczekanie psów. Psy znajdujące się gdzieś za nim ujadły idiotycznie. Zaczął krzyczeć na nie, a robił to głośniej niż kiedykolwiek, i wtedy usłyszał, jak z jego gardła wydobywa się z trudem przenikliwy krzyk, jakby nie z tej ziemi. W tej chwili olbrzymi biały psi pysk rozwarł się nad nim; Grooby poczuł, jakby go coś podniosło i podrzuciło. Stracił świadomość wszystkiego prócz nieokreślonych uderzeń pięścią, gdzieś daleko, w pustce i w milczeniu jego ciała.

**5 — Deszczowy koń**

## Konkurent

Wchodzę powoli na wzgórze. Jest czarna noc. Samochody przejeżdżają z piskiem opon, a drobny deszcz prószy w promieniach ich reflektorów. Nawierzchnia jezdnia, ehodniki, niskie murki, gęstwina zarośli w ciasnych ogródkach, żelazne sztachety, furtki, kałuże lśnią i połyskują jak węgiel, gdy wiatr szarpie ulicznymi lampami. Jest już po dziesiątej. Grudzień. Jestem ciepło odziany i wsunawszy ręce w rękawiczkach głęboko w kieszenie nieprzemakalnego płaszcza, otulam się szczelniej. Czuję się dobrze zabezpieczony z wyjątkiem stóp, podeszwy moich czarnych butów są za cienkie. Przypominają sprasowaną tekturę. Czuję, jak nasiąkają wilgocią. Kupiłem je jako buty do tańca, nigdy jednak w nich nie tańczyłem. Nigdy nawet nie poszedłem na lekcję tańca. Noszę teraz te buty, gdy chcę wyglądać elegancko. Czyste buty dają sercu lekkość, wciąż stwierdzam trafność tego powiedzenia. Dzisiejszego wieczoru jednak te podeszwy nie są odpowiednie. Zdając się na ich łaskę ograniczyłem wygodę do rejonów nieco powyżej kostek u nóg. Wiatr smaga i tnie, krąży naokoło i wstrząsa gałęzmi wiązów, gdy mijam mur plebanii. Uderza kłapami płaszcza o moje policzki, a włosy zlepia mi mżaw<sup>^</sup> kę. Szarpie mankiety u spodni. Wyje wśród zabudowań, głucho łomocze i huczy w oddali.

To ten dom. Naprawdę zwyczajny dom, przylega

jący jednym bokiem do następnego, obłożony kamyczkami, w rzedziejącej osłonie wiecznie zielonych krzewów. Dzisiejszej nocy stanowi zaledwie połowę czarnego podłużnego masywu. Oleiste odbicia lamp wyznaczają miejsca okien. Świateł nie widać.

Za dnia furka tego domu ukazuje małą ciemnozieloną tabliczkę pokrytą sadzą, o owalnym kształcie, z napisem: „Proszę zamykać furtkę”. Drzwi oraz framugi okienne są tej samej zielonej barwy. Dolne okno frontowego pokoju, salonu lub bawialni zachowuje całymi latami chłodną ciemność kostnicy. W tym pokoju spoczywali zmarli mieszkańcy domu. Górne frontowe okno sypialni zasłania od drogi tylna ściana luster toaletki. W sąsiedztwie wszystko jest takie samo, z wyjątkiem barwy części drewnianych, które mają tutaj odcień pokrytej sadzą ciemnej czerwieni. Mimo to zieleń nie jest tu niczym wyróżniającym się. W dwunastu domach stojących rzędem przed przecznicą powtarza się aż siedem razy. Czerwień jest barwą bardziej wyróżniającą się, występuje tylko dwukrotnie. Natomiast tylko jeden dom jest brązowy, a jeden czarny, wyjątkowo.

Szedłem wolno, lecz teraz jeszcze bardziej zwalniam, aż do kroku spacerowego. Widzę wyraźnie, że dom nie jest oświetlony od frontu. Być może świeci się w kuchni lub w bocznym oknie, lecz trudno to stwierdzić, ponieważ wysokie plecione ogrodzenie, równoległe do frontowego muru ogrodu i drogi, łączy ścianę boczną domu ze ścianą sąsiedniego, niższego domku, zakrywając od strony drogi boczne drzwi, okno kuchenne i tyły ogrodu. W tym ogrodzeniu są tandetne drzwiczki wychodzące na prostą wybetonowaną ścieżkę, prowadzącą jej odnogą od furki do bocznych drzwi. Jest to ścieżka, którą nigdy dotąd nie szedłem, chyba

w mej wyobraźni. A drzwi w wysokim ogrodzeniu, których nigdy jeszcze nie otwierałem, są zamknięte. Idę powoli, usiłując dostrzec błyski światła w szczelinach plecionego ogrodzenia.

Nagle uświadamiam sobie, że coś odciąga gwałtownie moją uwagę w przeciwnym kierunku. Ponieważ patrzyłem na ogrodzenie tylko kątem oka, nie okazując jawnie ciekawości, z twarzą lekko pochyloną ku przodowi — wystarczyło, że skierowałem wzrok w bok i nagle ujrzałem postać jakiegoś mężczyzny, stojącego pod ścianą opuszczonej kuźni przy końcu błotnistej alejki, która w tym miejscu przechodzi w starą ścieżkę wiejską, prowadzącą ku nieużytkom i nowym budynkom w oddali. Przez chwilę usiłuję w ogóle go dostrzec, gdy stoi w najciemniejszym stożkowatym cieniu, rzucanym przez pobliską latarnię uliczną u węgła kamiennej kuźni. Rozróżniam jego kształt, niewiele jaśniejszy od cienia, i widzę lub wydaje mi się, iż widzę coś — co jest prawdopodobnie bladością jego twarzy. Na pewno on się ukrywa, stopy grzęzną mu w wilgotnym gruncie alejki. Mężczyzna, który tylko na coś czeka, stałby z pewnością na chodniku w pełnym świetle. Dlaczego jednak ktoś miałby właśnie tam czekać? Lub, żarty na bok, dlaczego ktoś wybrał akurat to miejsce do ukrycia się?

Jakiż bowiem inny powód mógłbym podejrzewać? Przeszedłem pięć mil tylko po to, by spojrzeć na ten dom, tylko aby mieć okazję przejścia obok tej furtki, z której zwykle wyłania się dziewczyna. Prosta kalkulacja, że nigdzie na ziemi nie miałbym równie dobrej okazji spotkania jej, nawet o tej godzinie, tylko w obrębie pięćdziesięciu jardów chodnika po obu stronach furtki od frontu, sprowadziła mnie tutaj, pełnego napięcia, z odległości pięciu mil. Nadzieja, że przejdę obok

jej furtki właśnie w momencie, który ona wybierze, by wyjść z domu, a także cień możliwości, że nadzieja ta może być intuicją, jednym z tych nieomylnych i niezawodnych sygnałów przyciągających z dużej odległości owady, samców do samiczek — sprowadziła mnie z daleka o tej godzinie. Lecz czyżbym miał rywali?

Czy ta dziewczyna jest wyłącznie moją tajemnicą? Ledwo ją znam. Z daleka obserwowałem ją, wyróżniała się z tłumu trzystu innych dziewcząt. Ostatnio, gdy kiedykolwiek spotykaliśmy się na szkolnych korytarzach, zdawała się uśmiechać do mnie. I oto znalazłem się tu pełen nadziei, iż coś się zacznie. Dotychczas nawet do niej nie przemówiłem. Więc kim może być ten mężczyzna? Cóż może mi mieć do powiedzenia o niej? Uświadamiam sobie nagle, że jej życie może być znacznie bardziej ustabilizowane, niż bym sobie tego życzył.

Wchodzę dalej na pagórek aż po najbliższą przecznicę; teraz jestem przekonany, że on czatuje — na nią. Przechodzę przez ulicę. Skręcam w dół pagórka, idę nonszalancko, pogwizdując w zadumie i stąpając skrajem chodnika, obserwuję ruchliwe lśnienie rynsztoka, gdy drobny deszcz wysycha na czarnej drodze. Wpatruję się w uliczną lampę i myślę, że za dnia ten deszcz wydawałby się bardziej gwałtowny niż teraz, zbyt intensywny, by spacerować po nim pogwizdując. Właściwie dopiero w tej chwili zdaję sobie sprawę, że pada ulewnie, lecz to nie martwi mnie. Kiedy zbliżam się do alejki, przechodzę na wewnętrzny skraj chodnika, powściągając chęć obserwowania. Jestem całkowicie opanowany, tylko zaciekawiony. Dopiero w ostatniej chwili, gdy zrównuję się z cieniem przy kuźni, spoglądam w górę — tak jak spojrzalby

**6 — Deszczowy koń**

*Si!*

nic nie podejrzewający przechodzień, ujrawszy przelotnie w ostatniej chwili kogoś ukrytego w cieniu, i to tak blisko. Natychmiast spuszczam wzrok i idę dalej; przez chwilę nie wiem, co robić, gdyż moje podejrzenia potwierdził silny wstrząs, jakiego doznałem na widok bardzo bladej twarzy pod równym rondem filcowego kapelusza i nad ciasnym kołnierzem deszczowego płaszcza zapiętego pod szyję. Twarz bardzo chuda, wydawało się. Przy tak małej odległości cień go nie osłaniał. Bardzo długa chuda twarz. Jaki wiek? Nie opierał się o ścianę kuźni, lecz stał o krok dalej, w deszczu. Twarz bez wyrazu jak twarz człowieka jadącego z ogromną szybkością. Spojrzał wprost na mnie.

Sto jardów dalej, przy wejściu na podjazd do plebanii, przystaję w gęstym cieniu pod wstrząsanymi wiatrem, kapiącymi drzewami. Z tego miejsca zakręt drogi w górze odsłania jasno oświetloną fasadę kuźni, a ja wpatruję się w czarną czeluść poza nią. Wolałbym znajdować się wyżej od tego mężczyzny, tak żeby mieć też na oku dom, który jest stąd niewidoczny.

Nagle wy- ruszam, by poprawić swoje niekorzystne położenie. Szybkie wycofywanie się przez aleje i uliczki doprowadza mnie ponownie do bocznej ulicy za domem. Schodząc mijam trzy furtki i w końcu zatrzymuję się pod pochylonym krzewem, gdzie czuję się dobrze ukryty. Stąd mogę widzieć koniec wiejskiej drogi, lecz nie dostrzegam żadnej postaci; tylko czarny cień. Będę tak długo tu czekać jak on tam.

Mijają minuty. Samochody o parujących oponach pędzą z piskiem od strony miasta na wzgórze. Za wiązami plebanii bije zegar, a dźwięki uderzeń unoszą się wyraźne lub stają się głuche, gdy tłumi je wichur. Jedenasta. Otulam się szczelniej płaszczem, równo rozprowadzając w nim ciepło. Za mną krzewy drżą i ko

łyszają się posepnie. Jestem czarną kolumną cierpliwości.

Przychodzi mi teraz na myśl, że, w czasie kiedy go minąłem schodząc ze wzgórza przed moim przybyciem tutaj, mężczyzna mógł z łatwością odejść stamtąd bądź zejść niżej, bądź też wspiąć się na pagórek. Ta myśl napawa mnie niepokojem. Nie liczyłem się z tym, że będę tu czekać na dziewczynę. Przyjemność przejścia obok jej furtki była wszystkim, czego chciałem. Czy mam odejść? Czy może zejść niżej obok tej lub innej furtki? Niebezpieczne byłoby takie zbliżenie, gdyby on był tam jeszcze. Poczekam tu, aż wybije kwadrans, a jeśli do tego czasu mężczyzna się nie ukaze, zostawię to wszystko i pójdę do domu.

Wciąż stoję.

Światła w domach naprzeciwko gasną. Jedno światło w sypialni świeciło już, od kiedy tu przyszedłem. Wicher targa i szarpie na wszystkie strony, a deszcz trzepoce się jak na chybotliwej linie. Czas staje się niewymiernie gęsty i spoisty, gdy zaczynam wczuwać się w cierpliwość domów i ogrodów.

Wybicie kwadransa skupia mą uwagę na czarnym cieniu przy kuźni.

Czekam, uświadamiając sobie, że jakaś postać wyraźnie zarysowana stoi tam na samej krawędzi chodnika, patrząc na dom dziewczyny. Cofam się we wnękę furtki, wdzięczny, że dom za moimi plecami jest ciemny. Jak zabawnie odwróci się nasza sytuacja, jeśli on teraz przekroczy jezdnię, przejdzie obok mnie wspinając się na wzgórze i spojrzy w bok właśnie w odpowiednim momencie, by odkryć mnie skulonego tutaj w ukryciu.

Nie zwracałem uwagi na przejeżdżające auta. Teraz wielka czarna limuzyna zjeżdżająca w dół przyciąga

mą uwagę. Czyżby zwalniała? Zwalnia i skręca w bok, wystawiając pomarańczowy sygnał; ześlizguje się po pochyłości, zgarniając całą ciemność wokół krwistego blasku świateł hamulcowych, i kołysanie ustaje. Patrzę na to, jakbym obserwował nieruchomą bombę, która zdumiewająco zjawiwszy się, leży spokojnie. Koncentruję na niej całą świadomość.

Dziewczyna jest tam. Wiem o tym, i gdy drzwiczki po obu stronach auta otwierają się, a przyćmione światło napływa z wnętrza, pojawienie się jej postaci i gęstego runa włosów, kiedy prostuje się w świetle ulicznych lamp, zatraskując za sobą drzwiczki, nie jest niespodzianką. Lecz kim jest ten drugi podbiegający do auta po jej stronie; góruje nad nią i tak poufale poprawia jej kołnierz? Ach, tak! Jakbym spadał na dno świadomości. Z pewnością tego nie oczekiwałem. Raczej nie, gdyż ona nie ma jeszcze szesnastu lat, a to auto reprezentuje dyrektorski rozmiar i dostatek. Nie podoba mi się to, co oglądam. Nie podobają mi się wnioski, do jakich dochodzę. Słyszę głos męczyzny pewny siebie i zwycięski, gdy znów okrąża z nią auto i wchodzi na chodnik, gdzie, jak teraz widzę, trzecia postać już się pojawiła i czeka na nich.

Ich rozmowa urywa się. Nie namyślając się i bez żadnego celu wychodzę z ukrycia i podchodzę wolno ku nim, jak gdybym tu był z kimś umówiony, kto na mnie czeka. Dla zachowania pozorów, że tak istotnie jest, odwracam się do nich częściowo plecami i patrzę na wzgórze, cicho pogwizdując pod nosem.

Trzy postacie są niepokojąco ruchliwe. Dziewczyna ucieka pod mur, jakby ją ktoś uderzył. Widzę, jak ramię jej wysokiego towarzysza unosi się i opada, jakby



rała drzewo. Widzę, jak trzecia postać turla się po chodniku, wstaje, znów pada, wstaje i pada, a ramię wysokiego mężczyzny wymierza mu rączy. Odbywa się to w odległości dwudziestu jardów ode mnie, w surowym, chłodnym i wilgotnym cieniu. Po chwili, bez najmniejszego odgłosu, wszystko się kończy. Pobity mężczyzna siada i wkłada filcowy kapelusz na głowę. Naraz rozpoznaję w nim obserwatora z końca alejki. Mężczyzna odwraca się, przysiadając na krawężniku i nisko się pochyla, jakby pluł do rynsztoka. Stwierdzam, że podszedłem za blisko.

Dziewczyna zniknęła wraz z towarzyszącym jej mężczyzną. Czy poszła do domu? Tak, tamten jest tu znów i nadchodzi ścieżką, kiedy wchodzę przez furtkę. Nie okazuje najmniejszych oznak podniecenia, jedynie jego włosy wydają się lekko zmierzwiłone, a lampa uliczna oświetla łysiejącą pod nimi skórę. Jest bardzo wysoki, w obszernym płaszczu, otulającym go szalu i w dużych rękawiczkach, rzuca olbrzymi cień. Spogląda na mnie i wówczas rozpoznaję charakter tej twarzy, należącej do dobrze znanego mi typu. Och, nie! Ten mężczyzna coraz mniej mi się podoba i coraz mniej podobają mi się wnioski, do jakich dochodzę.

Mężczyzna rozgląda się pośpiesznie dookoła. Również i ja, w dalszym ciągu udając przechodnia, zauważam, że dodatkowa postać zniknęła. Posuwając się naprzód, słyszę trzask zamykanej furtki i kroki oddalające się ścieżką w górę. Idę dalej rozradowany i uspokojony tym, co zobaczyłem po przejściu chodnikiem zaledwie trzydziestu jardów. Mimo woli, jakby chcąc to niezwykle zdarzenie mocniej osadzić w scenerii, spoglądam na kuźnię po drugiej stronie ulicy.

Obserwator znów stoi na swoim miejscu, w cieniu.

Patrzę przed siebie z nateżeniem, jakby ktoś stro

fował mnie, stojąc z tyłu. Lecz nie mogę iść dalej, póki jeszcze raz nie spojrzę.

Mężczyzna jest tam, z pewnością jest tam znów. Jak gdyby w ogóle się stamtąd nie ruszał.

Przyśpieszając kroku obchodzę krąg ulic i po krótszej niż poprzednio nieobecności jestem znów pod moim krzewem rosnącym dalej za domem i patrzę na czarny cień przy kuźni.

W samą porę. Wysoka postać zjawia się obok auta, gigantyczna w tym zdradliwym świetle. Przez kilka chwil stoi — badając oficjalnie perspektywę rozciągającą się w dół i w górę pagórka. Lecz zaraz opuszcza swe stanowisko. Drzwi auta zatrząskują się. Silnik warczy i z wysuniętym do przodu silnikiem i uniesioną maską auto sunie po drodze i dalej w dół po zboczu wzgórza, znów dudniąc w oddali, jakby rzucało ostrzeżenie wstecz, w nagłą pustkę drogi. Przez chwilę ta pustka wprawia mnie w zdumienie.

I wtedy, jak czarny kot podejmujący ryzyko, obserwator wychodzi z cienia, przecina drogę i przeskakuje mur obok furtki dziewczyny.

Nie chcąc dać się wyprzedzić i zdając sobie sprawę, że zdarzenia weszły w nową fazę, schodzę szybko chodnikiem, lecz tym razem tuż przy murze ogrodu. Słyszę suchy szcęk drzwi w plecionym ogrodzeniu. Czyżby mężczyzna wszedł do środka?

Zatrzymuję się na chwilę. Nurtuje mnie tylko jedna myśl: „Kim on jest i co zamierza zrobić?”<sup>v</sup>

Wydaje się, że tak dalece panuję nad sytuacją, iż nie myślę już o ucieczce. Ale w jaki sposób podejść bliżej?

Nieśmiałe wyobrażenie sobie, że dziewczyna mogłaby być zadowolona z mego wtargnięcia jeszcze tej nocy, wywołuje u mnie lekki uśmiech. Lecz myśl ta jest



całkiem na miejscu, gdyż twarz długa chuda i biała jest gdzieś tam, po drugiej stronie furtki i ma własne zamiary. Wspomnienie tej twarzy doprowadza mnie do wściekłości.

Unikając furtki ze skrzypiącą klamką, prześlizguję się wzdłuż niskiego murku. Stąpając po gruncie ogrodu dochodzę bezszelestnie do drzwi obok wybetonowanej ścieżki. Teraz, jakby zastawiając pułapkę na myszy, powoli otwieram drzwi. Wpatruję się w rozszerzającą się lukę, jakby samo to napięcie było w stanie wysunąć czułki i przeszukać zakątki na tyłach ogrodu. Wsuwam się przez tę lukę i przystaję.

Wiatr szalejący wokół domu sprzyja mi i napawa otuchą, bo nawet zrzucona przykrywa śmietnika nie wzbudzi podejrzeń. Lecz jaką mogę mieć nadzieję, że go usłyszę? Z pewnością jego ruchy są równie ostrożne jak moje i być może jest o wiele zręczniejszy ode mnie. Idąc wzdłuż ściany domu po wybetonowanej ścieżce, dotykam drzwi nadzwyczaj ostrożnie koniuszkami palców, a przemoczonymi podszewkami wyczuwam nawierzchnię ścieżki. Stoję teraz przy narożniku domu. Nie do wiary! Obejmuję dom, w którym dziewczyna porusza się, oddycha, słucha i żyje, a jednak od co najmniej pięciu minut nie pomyślałem o niej ani razu. Lecz nie mogę usłyszeć nic, gdy spoglądam w ciemność w głębi ogrodu, nic prócz nieregularnych \* porywów wichru nasilającego się i cichnącego.

Czy deszcz ustał? Prawie.

Być może obserwator stoi tam blisko węgła, o parę cali ode mnie, i nasłuchuje wywoływanych przeze mnie odgłosów z takim napięciem, z jakim ja staram się go usłyszeć. Schodzę ze ścieżki, chcąc odnaleźć ogrodzenie między tym a sąsiednim ogrodem, jeśli w ogóle istnieje jakieś, aby kierując się wyczuciem, dotrzeć

w głąb ogrodu. Lecz idąc po miękkim gruncie między domem a ogrodem, trwam w oczekiwaniu. Nasłuchuję.

Ostry trzask, jakby potężnego kija uginającego się pod wielkim ciężarem, dochodzi z tyłu i rozprzestrzenia się ku środkowi ogrodu. Cierpię z powodu swego unieruchomienia, gdyż daję mężczyźnie czas, aby przyszedł do siebie po przeżytych strachu. Powoli, tylko wtedy gdy niezwykle silny poryw wiatru osłania mnie, posuwam się wzdłuż ściany ogrodu.

Teraz gałązki oraz kolce, agrestu czy też malin, ocierają się o moje kolana. Przykucam, wyczuwając rozłożonymi szeroko rękami miękki grunt. Czy obok mnie jest ścieżka? Nie szukałem jej przedtem sądząc, że jest posypana popiołem, lecz to naga i twarda ziemia.

Zorientowawszy się w mym położeniu, czołgam się naprzód na rękach i na kolanach, unosząc stopy za sobą wysoko nad ziemią, przez cały czas wpatrując się w ciemność, aż wydaje mi się, że cała moja głowa zamieniła się w jedno niespokojne oko. To, co jest na prawo, wydaje mi się altaną z niskich drzew, ogołoconych o tej porze roku, może to być płotkiem różanego ogródka. Przede mną albo wysoki zarośnięty żywopłot, albo też gąszcz zarośli. Gwałtowne ataki wiatru zdają się mącić mój wzrok i myśli; uświadamiam sobie, że jestem bezradny, póki nie znajdę innego rozwiązania tej tajemnicy. Postanawiam stać nieruchomo. Jestem zadowolony, że aż dotąd udało mi się posuwać cicho. Wicher szaleje wśród krzewów tak bezmyślnie i żywiołowo, że odróżnienie wśród tego żywiołu ludzkich głosów będzie wymagało ode mnie skoncentrowania całej uwagi.

Czekam. Nasłuchuję. Widziałbym więcej, gdybym wstał.

Powoli odwracam głowę, przyciskam policzek do

' - **Deszczowy koń**

ramienia i skierowując wzrok ku najdalszym zakątkom ogrodu, dostrzegam poza mną czarny masyw domu.

Czemu jest nie oświetlony? Oczekiwałem światła przynajmniej w oknie sypialni, mimo jego ciężkich za-zasłon. Czy dziewczyna weszła do ciemnego domu? Czy siedzi w ciemności?

Przez chwilę nie zmieniam pozycji.

Dźwięk dzwonu wybijającego dwukrotnie pół godziny zostaje rozerwany na strzępy przez nowy poryw wichru i pochłonięty przez nieruchomą ziemię.

Rozluźniam stawy, ponownie napinam mięśnie ciała, przygotowując je do poderwania się na nogi. Nie chcę, aby kości trzeszczały w stawach. Przybieram swobodną postawę. Stopniowo przenoszę ciężar ciała z rąk na kolana, wysuwam naprzód lewe kolano, opierając podszewę lewej stopy o ziemię. Przyjmuję niemal postawę startującego szybkobiegacza. W tym momencie zastygam. To rozbrzmiewa za moimi plecami. Nie do wiary!

Czyste tony fletu, łagodnie wybuchające dźwięki, wyraźnie brzmią w moim uchu, jakby rodziły się we włóknach moich nerwów!

Wyrażam zdumienie rozciągając powoli skórę twarzy w grymas, w wykrzywioną maskę lamparta, w tej głębokiej ciemności. Zachowuję ten grymas, kiedy tony fletu grają w moim mózgu.

Tuż za moimi plecami! Ktokolwiek tam gra, musiał przykucnąć i śmieje się teraz ze mnie podczas tego grania. Obserwował każdy mój ruch, gdyż skradał się za mną krok w krok, a gra na flecie, aby ukazać oczywistą niedorzeczność naszej sytuacji.

Obracam się teraz powoli lekko przechylając się, gdyż być może się mylę. Może mnie jeszcze nie wykrył.

I rzeczywiście się myliłem. Jak mogłem go przed-

tem nie dostrzec? Jak on mógł nie dostrzec mnie? Odwrócony do mnie tyłem, przykucnął na piętach, z twarzą zwróconą ku domowi, w filcowym kapeluszu lekko nasuniętym na czoło, poruszając się wolno, a tony fletu, nie zważając bynajmniej na wiatr, wspinają się krok po kroku, wybiegają w przód, wspinają się, biegną naprzód, opadają potrząsając czymś, zanurzają się i znów głęboko penetrują czarne podłoże; znowu wyłaniają się, wznoszą coraz wyżej i wibrują na wysokościach, strząsając migocące odpryski...

Dom jest kompletnie czarny.

Rozluźniam mięśnie i także przykucam na piętach, i odwracając się powoli, skupiam całą uwagę na tonach fletu, czekając na ich pierwsze załamanie się; obserwuję rondo kapelusza tamtego mężczyzny, czatując na pierwszy sygnał czujności. Mógłbym teraz, nachyliwszy się do przodu, poklepać go po plecach. Rozkoszując się tą myślą, -macam wokół siebie ziemię, szukając jakiegoś kamyka, lecz znajduję tylko odłamana gałązkę, rozwidlony kawałek gałązki. Dowód rzeczowy! Wkładam go do kieszeni. Mężczyzna nie wie, że tu jestem.

I teraz w bezmyślnej ekstazie wykrzywiam znów rysy twarzy, otwieram szeroko usta i wytrzeszczam oczy jak człowiek śmiejący się na głos lub wydający okrzyk bojowy, lecz dzieje się to w całkowitym, przedłużającym się milczeniu, gdy tony fletu rozsypują się i wypełniają czarny ogród wspinając się po murze, stukają w ciemne okno i zataczając krąg powracają do tej pochylonej, czujnej postaci, oddalonej ode mnie ledwie o kilka kroków.

Posłowie

**Ted Hughes zajmuje szczególne miejsce na mapie powojennej poezji angielskiej. Pośród poetów bardziej akademickich, kontynuujących dawne wzorce literackie, ujawnił niespodzianie indywidualność na wskroś oryginalną i od razu skryształowaną. Na ogół poezja angielska, jak to słusznie zauważa A. Alvarez w antologii *The New Poetry*<sup>1</sup> — była zawsze o wiele bardziej konserwatywna, mniej podatna na wszelkie wpływy oraz nowatorstwo niż poezja amerykańska. Jeśli nawet pojawiały się pewne próby wyrwania jej z tego zaklętego kręgu stagnacji, to dokonywały się one nieraz za pośrednictwem poetów przybyłych z zewnątrz, jak np. w wypadku T. S. Eliota lub Ezry Pounda, i spotykały się zazwyczaj z dużą nieufnością ogółu społeczeństwa. Nie należy zapominać, że Auden dopiero w Ameryce znalazł podatny grunt do rozwinięcia nie tylko swych innowacji technicznych, ale również śmiałości w traktowaniu ówczesnie aktualnych, a także bardziej osobistych tematów.**

**Intelektualistyczna poezja Audena miała w Anglii opozycjonistę w osobie Dylana Thomasa — post-romantyka, który reprezentował spontaniczny typ twórczości o spiętrzonych metaforach — poezję mroczną, pełną niedomówień i znaczeń nie do odcyfrowania.**

**Niestety, poeci usiłujący naśladować ten styl pogrążali się najczęściej w chaosie i nie stworzyli niczego oryginalnego. Tak więc poezja Dylana Thomasa była zjawiskiem bez kontynuacji i nie odcisnęła silniejszego piętna na współczesnej poezji angielskiej; nie zdołała też stworzyć trwałej przeciwwagi panującej poezji akademickiej, wydumanej w bibliotekach i w ciszy gabinetów.**

**W latach pięćdziesiątych nastąpiło ożywienie ruchu poetyckiego w Anglii. Na arenę zaczęło wstępować młodsze pokolenie, bardziej otwarte nie tylko na wpływy z zewnątrz, lecz rów**

80

---

<sup>1</sup> Alfred Alvarez, *The New Poetry*, Penguin Books Ltd. Harmondsworth 1962.



niez pilnie śledzące zmiany zachodzące w życiu politycznym i międzynarodowym. Pokolenie nowe, dla którego przeżycia ostatniej wojny były jeszcze czymś żywym, a kryzys moralny całej cywilizacji stanowi! źródło niepokoju.

W tym okresie życie poetyckie w Anglii zdominowały dwa ważne kierunki: „The Group” i „The Movement”. Ten ostatni reprezentowany był przez antologię *Ketu Lines*, wydaną przez Roberta Conquesta w 1956 roku. Przedstawiono w niej utwory 9 poetów, wśród których najwybitniejszym był Philip Lark in elegancki, tradycyjny i bardzo brytyjski.

Na antypodach „The Movement” znalazła się „The Group”, skupiająca poetów wokół wydanej przez Edwarda Lucie-Srnitha antologii *Group Anthology* (w 1963 roku) o orientacji bardziej postępowej, jeśli chodzi o formę wiersza i podejmowaną tematykę. W *New Lines* figurował też świetny poeta Thom Gunn, który później przeniósł się na stałe do Stanów Zjednoczonych, natomiast Szkot z pochodzenia, George MacBeth był związany z „The Group”. Przynależność Teda Hughesa do tego ugrupowania trwała krótko. Niemniej była znaczącym etapem w jego biografii.

Choć obie grupy stosunkowo szybko się rozpadły — wniosły jednakże twórczy ferment w dość ospale dotąd życie literackie Anglii. Zainteresowanie rozwojem zwłaszcza amerykańskiej poezji, dyskusje, ścieranie się diametralnie różnych poglądów stworzyło pomyślną atmosferę dla mniej ortodoksyjnych kierunków. Do głosu przyszli poeci odważniejsi i bardziej drapieżni, wśród których czołową pozycję zajął Ted Hughes. Już jego pierwszy tom *The Hawk in the Rain*, wydany w 1957 roku, zwrócił uwagę krytyków i wywołał sprzeczne opinie. Allan Brownjohn skrytykował go ostro z powodu gwałtowności i seksu występujących w tej poezji. Jeszcze dalej posunął się Calvin Bedient przydając Hughesowi wręcz epitet „podglądacza gwałtowności”. Na ogół jednak tom spotkał się z przychylnym przyjęciem innych poetów oraz większości krytyków. Podziwiano oryginalność tematyki, jak również sprawność warsztatu poetyckiego. *The Hawk in the Rain* to poetycki kosmos — kompletny i całkowity, wyrażony językiem jędrnym, gdzie każde słowo

**jest niezbędne i staje się niemal samoistnym bytem. 'Derwent May \*  
w swym eseju o Hughesie poddaje analizie mi-**

<sup>1</sup> Derwent May. *Tett hafihes — The Survival of Poetry* ed. Marlin  
Dotlsv/orth, Faber, Lonünn 1!)70.

»82

strzowski dobór słów i doskonale rozłożenie akcentowanych i nie akcentowanych sylab ewokujących w wierszach odpowiednie efekty. W jednym ze swych listów Sylvia Plath, żona Hughesa, niezwykle trafnie określiła styl Teda:

„Ted pisze barwnie, wspaniale i w pełnej życia tonacji o miłości, narodzinach, wojnie, śmierci, zwierzętach, wampirach, męczeństwie i zawilych intelektualnych problemach... Łączy on intelekt i wdzięk skomplikowanej formy z liryczną melodyjnością, męskim wigorem i żywotnością oraz z moralnym zaangażowaniem, a także z miłością i lękiem przed przerażającym światem”<sup>2</sup>.

Z całą pewnością talent Hughesa i właściwości jego stylu zmanifestowały się wyraźnie już w tym pierwszym tomie. Głos poety był świeży, nie obciążony akademickim dystansem do przejawów życia, nawet tych najbardziej brutalnych i okrutnych. Poezja Hughesa nie jest jednak echem twórców amerykańskich, tak jak wielu mu współczesnych. Na wskroś brytyjskiemu, ukształtowanemu przez przyrodę i warunki życia w Yorkshire Hughesowi można odszukać antenatów jedynie pośród metafizycznych poetów angielskich. Keith Sagar<sup>3</sup>, autor wnikliwego studium o poezji Hughesa, stwierdza, że posługiwanie się hiperbolą i metaforą na taką skalę było charakterystyczne dla siedemnastowiecznych twórców — którzy opisując nawet najzwyklejszy krajobraz, potrafili wywołać intensywną całościową wizję w wyobraźni czytelnika. Postępując podobnie — mniej lub bardziej świadomie — Ted Hughes uzyskuje taki sam zadziwiający efekt: żywioly — śnieg, deszcz, wiatr — a także zwierzęta jawią się w groźnym, przerażającym aspekcie, daleko wykraczającym poza ramy opisywanych zjawisk.

W 1957 roku poeta wraz ze swą żoną, Sylvią Plath, zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, dzieląc czas między pracę na uniwersytecie oraz twórczość literacką. Owocem tego był następny tom wierszy *Lupercal*, opublikowany w 1960 roku, najpierw w Ameryce, a później w Anglii — kontynuujący zasadnicze wątki poprzedniego, może

---

<sup>2</sup>Keith Sagar, *The Art of Ted Hughes*, Cambridge Univ. Press, Cambridge 1978.

<sup>3</sup>Keith Sagar, *The Art of Ted Hughes*, Cambridge Univ. Press, Cambridge 1978.

**tylko bardziej zwarty, wolny od wszelkich wpływów i zapożyczeń  
oraz charakteryzujący**

**' Sylvia Plath, *Letters Home*, Faber, London 1975.**

**84**

się większą prostotą. Dominują tu już wyraźnie wiersze o zwierzętach, które miały zająć w przyszłości kluczową pozycję w twórczości poety.

Z końcem 1957 roku Ted i Sylvia powrócili do Anglii. Zmieniali kilkakrotnie miejsce zamieszkania, aż w końcu osiedlili się na stałe w małym domku w hrabstwie Devon. W tym okresie przyszło na świat dwoje ich dzieci: córka Frieda oraz syn Mikołaj. Sylvia pisała wówczas swą autobiograficzną powieść *Szklany klosz* oraz poematy, które miały ukazać się pośmiertnie w tomie *Ariel*, stanowiącym apogeum jej twórczości. Były to burzliwe lata dla nich obojga. Pożycie małżeńskie zakończyło się separacją, załamaniem nerwowym Sylwii oraz jej samobójstwem.

Dla Teda były to też lata wzmożonej aktywności, m.in. wówczas napisał wiersze, które weszły w skład *Wodwo*. *Wycie wilków*, *Taniec szczura*, *Gog*, *Psalm komarów* i wiele innych równie celnych utworów; zebrał je razem i wraz z dramatem *The Wound* oraz opowiadaniem, powstałymi jeszcze w Ameryce, ogłosił drukiem w 1967 roku, najpierw w Anglii, potem w Ameryce. Należy nadmienić, że amerykańska edycja była obszerniejsza i zawierała szereg utworów, których nie ma w angielskiej.

Tom *Wodwo* stanowi punkt zwrotny w twórczości poety. Wiersze w nim zawarte w bardziej jeszcze zdecydowany sposób przejawiają metafizyczny charakter niż poprzednie. Poprzez opisywane krajobrazy i zwierzęta zyskujemy wgląd w inną rzeczywistość. Intuicja poety, przebijając zewnętrzną, usiłuje osiągnąć istoty każdej rzeczy. Jest to zatem sztuka pojęta jako *mimesis*, ale w znaczeniu nrystotelesowskim — naśladowania tego, co najistotniejsze w każdej rzeczy lub zjawisku. Niektóre z poematów jawnie zdradzają ten poszukiwawczy, metafizyczny niepokój jak: *Teologia*, *Logos*, *Karma*, *Wariacje na kobzę* i inne.

Ted Hughes zasłynął przede wszystkim jako poeta; jego prozatorska twórczość pozostawała przez to wyraźnie w cieniu, a szkoda, gdyż poeta przejawia w niej tę samą oryginalność i indywidualne piętno, co i w poezji.

**Zgodnie z życzeniem autora tom *Wodwo* należy rozpatrywać jako całość.**

**„Opowiadania i sztuka w tej książce mogą być czytane jako notatki, dodatek lub nie wierszowane epizody zdarzeń**

**86**

na zapleczu poematów albo jako rozdziały tej samej przygody, dla której poematy są komentarzem i poszerzeniem. W tym charakterze wiersze i proza powinny być czytane razem jako części tego samego utworu" <sup>5</sup>.

Poezja i proza współgrają w tym tomie, a te same tematy wyrażone raz wierszem, a raz prozą, stanowią jakby negatyw i pozytyw rzeczywistości. Ponieważ proza jest mimo wszystko medium wymagającym większej dosłowności, \* można sądzić, że właśnie proza jest komentarzem do wierszy, pozwalającym prześledzić procesy twórcze *in statu nascendi*.

Mimo różnorodnej tematyki, prawie we wszystkich opowiadaniach przewija się wspólny problem: przeciwstawienie bezwzględnej samotności człowieka potężnym, bezosobowym siłom przyrody.

Wszystkie nowele ukazują ludzi w sytuacjach krańcowych, w momencie wyostrowanej świadomości, pozwalającej im ogarnąć całe dotychczasowe życie w jednym krótkim błysku poznania. W takich momentach protagoniści postawieni jakby na zewnątrz siebie, samotni, lecz niepokonani, mobilizują wszystkie siły, aby nie utracić choćby ograniczonej kontroli nad swym losem.

Próba jednak odczytania twórczości Hughesa w kategoriach czysto egzystencjalnych zubożyłaby intencje autora. Hughes wychodzi daleko poza ramy nakreślone przez obecną sytuację społeczną i historyczną, która sprzyjała takiemu widzeniu świata. Cofa się do prymitywnych form egzystencji ludzkiej. Poeta przedstawia swych bohaterów na tle scenerii pierwotnej, nie mającej nic wspólnego ze zmechanizowaną i ucywilizowaną kondycją współczesnego człowieka. Odrzucenie zachowań i reakcji nabytych w życiu społecznym stawia człowieka w sytuacji, w jakiej jest zdany wyłącznie na swe siły witalne. Brak tu moralnego kodeksu, który ludzkość wypracowała w ciągu długiego historycznego rozwoju, gdyż w świecie Hughesa, jak to słusznie zauważył wspomniany już Keith Sagar — nie pojawił się jeszcze Bóg jako kategoria etyczna, a władzę nad światem sprawuje Biała Bogini, Pramatka, Bogini Życia i Śmierci, personifikacja ślepych i okrutnych sił przyrody. Robert Graves •, sławny poeta i powieściopisarz star

<sup>9</sup> Teri Hughes, *WfHitro*. Kabei<sup>1</sup>. London. ]{»>T.  
» Ttuert Graves. *The White Goddess*, Vintage Hooks, New York,  
1\*58.

88



szego pokolenia, opisał różne aspekty tego mitu i jego funkcjonowania, zwłaszcza u dawnych Celtów, w książce pt.: *The White Goddess*.

We wszystkich opowiadaniach Hughesa występuje ten główny *leit motiv*-, czy to w postaci groźnego żywiołu, jak w noweli *Śnieg*, zabójczego upału w *Żniwach* lub tajemniczego konia (*Deszczowy koń*), który uzmysławia człowiekowi jego bezradność i całkowitą obcość. W *Niedzieli* epizod z zabiciem szczura można odczytać również jako wprowadzenie chłopca w groźny rytuał śmierci, w domenę Białej Bogini, w okrucieństwo życia.

W położeniu krańcowym podmiot może nawet utracić poczucie własnej tożsamości, jak to się dzieje we wspomnianym już opowiadaniu *Śnieg*. Podobnie porażony upałem Grooby w *Żniwach* ulega przedziwnej przemianie i z myśliwego sam staje się zwierzyną, w tym przypadku zającem, którego w końcu dopada myśliwski pies. Hughes dokonuje tu nagłego skoku w przeszłość, wskrzesza celtycki mit — co potwierdza motto umieszczone na początku opowiadania, pochodzące ze starej pieśni o cudownej metamorfozie człowieka w zająca. Jak wiadomo, zając był u Celtów zwierzęciem świętym, symbolem płodności, co ma szczególne znaczenie w kontekście tego opowiadania. Zabicie go oznaczało zbrodnię wobec natury, stąd też wahania i wątpliwości Grooby'ego, gdy usiłuje zastrzelić owo totemiczne zwierzę. Mit wychodząc poza jednostkowe doświadczenie nadaje szerszy wymiar opowiadaniu, a okrucieństwo zabijania musi być przez to widziane całkiem w innym aspekcie, mniej dosłownym, co wiąże się z problemem poruszonym na samym wstępie.

Dużo pisano o gwałtowności występującej w twórczości Teda Hughesa, jakoby kult przemocy sam przez się był dominującym wyrazem światopoglądu poety. Taka opinia panowała powszechnie po ukazaniu się pierwszych tomów jego wierszy. Od czasu Wodu'ego Hughes ogłosił kilka następnych książek poetyckich, a przede wszystkim *Kruka* (1970), *Season Songs* (1975) oraz długi narracyjny poemat *Gaudete* (1977) opisujący niesamowitą przemianę duchownego pod wpływem demonów, niejako rozszczepienie jego jaźni, W utworze tym Hughes podejmuje stary mit o wtajemniczeniu

**bohatera w dramacie i okrucieństwo życia. Jak każdy mit poemat  
wyraża psychologiczną prawdę o siłach tkwiących w pokładach  
podświadomości. Za-**  
**90**

równy Kruk jak i *Gaudete* ukazują w całkiem innym świetle to, co pierwotnie brano za gloryfikację przemocy i barbarzyństwa. Przez dłuższy czas nie rozumiano lub nie chciano zrozumieć, że poezja ta jest czymś więcej niż apologią gwałtowności i ślepych sił przyrody, jak to nieraz bywało, na przykład u Lawrence'a.

Claire Hann<sup>4</sup> cytując wypowiedź samego autora, że poeta jest przede wszystkim szamanem, a jego twórczość magicznym i religijnym obrzędkiem — zauważa słusznie na marginesie tej wypowiedzi, iż energia jest u Hughesa przejawem życia, a magiczny rytuał sztuki czynnikiem poskramiającym amoralne przejawy tej energii. Siła woli i ludzka świadomość przeciwstawiają się groźnym siłom przyrody bez patosu i wielkich gestów, zaklinając je słowem lub magiczną formułą, by te moce choć częściowo poskromić. Jak w starych mitach idzie tu walka o przetrwanie. Tak też jest w *Śniegu*, gdzie los bohatera, zagubionego wśród odwiecznych lodów, bez kompasu, bez pamięci

0 przeszłości, urasta do alegorii ludzkiego losu. Bohater o ograniczonej świadomości, podobnie jak u Becketta, zostaje zredukowany do samej woli przetrwania, w czym ma mu pomóc magiczny rytuał dotykania krzesła — jedyne reliktu wyniesionego z poprzedniego życia — oraz uporczywe powtarzanie paru siów. Tak więc ujawnia się szczególna rola, jaką taki rytuał może odegrać w życiu współczesnego człowieka. Można tu też zaobserwować desakralizację magii przez pozbawienie jej religijnego znaczenia. Taki minimalizm postawy filozoficznej jest być może logiczną konsekwencją załamania się wiary w postęp

1 priorytet intelektu i stanowi stadium, przez które musi przejść człowiek współczesny, zanim zdoła nawiązać pradawny, utracony kontakt z naturą.

Osadzenie dzieła literackiego w micie, nadanie mu funkcji magicznej sprawia, że każdy poszczególny utwór nie jest fragmentaryczny, lecz nabiera właściwego znaczenia w powiązaniu z całością. Element fantastyki w opowiadaniach Hughesa nie polega na nieoczekiwanym biegu wydarzeń ani na ingerencji duchów, lecz mieści się w zastanej

---

<sup>4</sup> Claire Hann, *Crow and Biblical Creation Narratives*, „Critical Quarterly”, Spring 1977.

**rzeczywistości, która nagle ujawnia swój niepokojący, nierzadko złowrogi charakter. Ujrzany po latach krajobraz, zasłona deszczu izolująca od świata**

ta, koń istniejący autonomicznie, lecz będący zarazem alegorią przyrody — albo w *Konkurencie* postać okryta cieniem i grająca na flecie jak bożek Pan — wszystko to poszerza perspektywę i rozsadza ramy naszego widzenia. Spoza pozornie zwykłych przedmiotów i krajobrazów wylania się inna rzeczywistość, od dawna przeczuwana intuicyjnie.

Zmienna i nieuchwytna aura wypełnia przestrzeń, w której poruszają się protagoniści dramatu. Pozornie prosty, lecz metaforyczny język Hughesa stwarza i ukazuje w zmienionych wymiarach, niczym w halucynacyjnym śnie, ostro zarysowane, jakby uchwycone w migawce sceny. Chwilami wydaje się – co brzm<sup>s</sup> niemal paradoksalnie — że wyrazistość, a nawet konkretność obrazowania odrealnia<sup>^</sup> poszczególne przedmioty i zdarzenia. Sprawia to oddana w mistrzowski sposób intensywność istnienia *hic et nunc*. Rzadko kto w obecnej epoce zdolny jest do odczuwania w równym stopniu samego faktu istnienia. Świat Teda Hughesa jest wieloznaczny, okrutny i groźny, a zarazem sublimujący zarówno samo trwanie jak i śmierć. Tak jak w pradawnych mitach poeta łączy przeciwieństwa w nieustannym cyklu kreacji i dekreacji. Cechy te wystąpiły jeszcze z większą intensywnością po wydaniu *Wodwo*, w tomie Kruk.

Cała twórczość Hughesa jest konsekwentną realizacją postaw filozoficznych, uformowanych na samym początku jego kariery literackiej, dzięki czemu stanowi ciekawy obiekt analizy krytycznej. Wątki podjęte w pierwszym tomie zostały rozwinięte w następnych. Wspomniany już Kruk ukazuje centralną postać szeregu poematów — buntownika walczącego z Bogiem *I* usiłującego mu przeciwstawić swój własny kodeks poza ludzką etyką — kodeks, którego jedynym credo jest przetrwanie.

Przesianie poety obrasta coraz bogatszymi konotacjami, zwielokrotniającymi siłę jego oddziaływania. W wizji poetyckiej Hughesa nie ma wyraźnej granicy między światem ludzkim a zwierzęcym — co więcej, nie ma ścisłego podziału na świat ludzki i zwierzęcy. Drapieżne drozdy i celowość ich ruchów jest przyrównana do mechanizmu mózgu muzyka, komary to chasydzi, osty — wojsko

**normandzkie *i* ostro najeżoną bronią. Przykładów podobnych można by przytoczyć jeszcze więcej. Wielu poetów stosowało podobną metodę,-to prawda, lecz u Hughesa zaskakuje śmiałość porównań, dotarcie jakby do samej istoty zjawiska. Prosta, sięgająca w głąb metafo-**

ryka wykazuje u **podstaw** jedność świata, jednolitość jego **budowy**. To człowiek wydaje się intruzem w tym świecie, który usiłuje nagiąć ku sobie, obcym mu całkowicie. Lecz równocześnie poeta nie umniejsza znaczenia świadomości ludzkiej, która mimo wszystko jest odrębna i może przeciwstawić się siłom przyrody. Hughes głosi stoicki heroizm, tę najmniej efektowną jego formę. A więc oscylowanie na ostrej krawędzi między potrzebą włączenia się w cykl .natury i zachowaniem własnej autonomii -..... taki pozornie sprzeczny **obraz *condition humaine*** wyłania się z jego poezji i prozy.

*Teresa Truszkowska*

Spis treści

**Deszczowy koń**

**Niedziela**

Śnieg

**Żniwa . . Konkurent . Posłowie**





Ilustracje

JERZY DUDA-GRACZ Redaktor

APOLONIA BEJSKA

Redaktor techniczny BOŻENA KORBUT

Printed **in** Poland

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982

Wyd. I. Nakład 20 000+283 egz. Ark. wyd. 3,9

Ark. druk. 5,75. Papier druk. mat. kl. V, 82X104 cm, 65 g.

Oddano do składania I II 1982

Podpisano do druku 25 X 1982. Druk ukńczono w listopadzie 1982

Zam. nr 38/82. K-9-56. Cena zł 45.—

Drukarnia. Wydawnicza, Kraków, ul. Wadowicka 8

**Ted Hughes zajmuje szczególne miejsce na mapie Dwojowej poezji angielskiej. Pośród poetów bardziej akademickich, -ie wzorce literackie, ujawnił niespodzianie indywiduic i- nalną i od razu skryalizowaną... Już jego pierwsz ie Rain, wydany w 1957 roku, zwrócił uwagę krytyk ae opinie. Allan Brownjohn był tym, który ostro go du gwałtowności i seksu występujących w jego poezji. Jeszcze aaiej ^su- nał się Calvin Bedient przydając Hughesowi wręcz epitet „podglądacza gwałtowności” Na ogół jednak tom ten spotkał się z przychylnym przyjęciem innych poetów oraz większości krytyków. Podziwiano oryginalność tematyki, jak również sprawność warsztatu poetyckiego...**

**Ted Hughes zasłynął przede wszystkim jako poeta; jego prozatorska twórczość pozostawała przez to wyraźnie w cieniu, a szkoda, gdyż poeta przejawia w niej tę samą oryginalność i indywidualne piętno, co i w poezji...**

**Mimo różnorodnej tematyki prawie we wszystkich opowiadaniach przewija się wspólny problem: przeciwstawienie bezwzględnej samotności człowieka potężnym, bezosobowym siłom przyrody. Wszystkie nowele ukazują ludzi w sytuacjach krańcowych, w momencie wyostrowanej świadomości, pozwalającej im ogarnąć całe dotychczasowe życie w jednym krótkim błysku poznania. W takich momentach protagoniści postawieni jakby na zewnątrz siebie, samotni, lecz niepokonani, mobilizują wszystkie siły, aby nie utracić choćby ograniczonej kontroli nad swym losem...**

**Próba jednak odczytania twórczości Hughesa w kategoriach czysto egzystencjalnych zubożyłaby intencje autora. Hughes wychodzi daleko poza ramy nakreślone przez obecną sytuację społeczną i historyczną, która sprzyjała takiemu widzeniu świata. Cofa się do prymitywnych form egzystencji ludzkiej. Poeta przedstawia swych bohaterów na tle scenerii pierwotnej, nie mającej nic wspólnego ze zmechanizowaną i ucywilizowaną kondycją współczesnego człowieka. Odrzucenie zachowań i reakcji nabytych w życiu społecznym stawia człowieka w sytuacji, w jakiej jest zdany na swe siły witalne. Brak tu moralnego kodeksu, który ludzkość**

**wpracowała w ciągu długiego historycznego rozwoju, gdyż w świecie Hughesa, jak to słusznie zauważył Keith Sagar — nie pojawił się jeszcze Bóg jako kategoria etyczna, a władzę nad światem sprawuje Biała Bogini, Pramatka, Bogini Życia i Śmierci, personifikacja ślepych i okrutnych' sił przyrody.**

**(Z *Postłwia* Teresy Truszkowskiej)**

**Cena zł 45.—**

**ISBN 83-08-00833-X**